

A stylized map of Poland is shown in shades of teal and dark green. A silhouette of a crown is positioned above the map. Overlaid on the map is the text 'KTO RZĄDZI POLSKĄ?' in large, bold, white and grey letters. A diagonal shadow effect is cast across the text.

**KTO
RZĄDZI
POLSKĄ?**

W numerze:

Kto naprawdę rządzi Polską? Od władzy monopartii do monowładzy partii Stefan Sękowski.	3
Jego Wysokość Chaos, Król Polski Witold Sokała	9
Polska inteligencja. Etos czy relacje władzy? Z prof. Tomaszem Zaryckim rozmawia Krzysztof Wołodźko	16
7 powodów, dla których gorąca wojna USA-ChRL jest mało prawdopodobna Bartłomiej Radziejewski.	25
Cyfrowy jawn – narzędzie kontroli i budowania potęgi Paweł Behrendt	29
Pomiędzy katastrofami. Bóg, natura i człowieczeństwo John Milbank	34
Czy boty zabiorą nam demokrację? Piotr Wilkin	43
Nasz Adam i Redaktor Michnik Wojciech Stanisławski	49
Od małych do wielkich celów. Nowe zasady Jordana Petersona Jarema Piekutowski	56

Dofinansowano ze środków
Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego
Ministerstwo Kultury i Dziedzictwa Narodowego.

Kto naprawdę rządzi Polską? Od władzy monopartii do monowładzy partii



STEFAN SĘKOWSKI

Zastępca Dyrektora „Nowej Konfederacji”,
kierownik sekcji Publicystyki

Być może po rządach Prawa i Sprawiedliwości Polską nie będzie już można rządzić inaczej niż tak, jak robi to Prawo i Sprawiedliwość

Czy mamy w Polsce realną (choć z konieczności ograniczoną przez reprezentację) władzę ludu, czy raczej demokracja to fasada, za którą ktoś inny pociąga za sznurki? Teorie i hipotezy takie jak postkomunizm w ujęciu Jadwigi Staniszkis, *shadow elite* Janine Wedel, układ Andrzeja Zybertowicza czy neokolonializm Bartłomieja Radziejewskiego oraz inne ukazują, że nie wszystko jest takie, jak na pierwszy rzut oka się wydaje. To pytanie nie stało się mniej aktualne teraz, kiedy od ponad 5 lat rządzi ekipa, która wzięła sobie te diagnozy na sztandary, a przynajmniej uczyniła język, jakim były one stawiane, orężem walki partyjnej.

Władza w jednej garści

By odpowiedzieć na pytanie, kto naprawdę rządzi Polską, warto cofnąć się do okresu PRL, kiedy to sytuacja z władzą wyglądała zupełnie inaczej niż dziś. Polska była krajem zależnym, znajdującym się pod protektoratem Związku Sowieckiego. Jednak decyzje (w każdym razie: nie wszystkie, a na pewno nie te szczegółowe) nie zapa-

dały zawsze w Moskwie. Przed 1989 rokiem można było mówić o władzy monopartii (Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej), ze szczególnym uwzględnieniem jej Komitetu Centralnego oraz tegoż Biura Politycznego i jeszcze ściślej – I Sekretarza. To tam zapadały najważniejsze decyzje dotyczące polityki, gospodarki czy bezpieczeństwa. Umożliwiał to system polityczny i gospodarczy. Tzw. centralizm demokratyczny oraz centralne planowanie powodowały, że od decyzji władz Partii (wyższego bądź niższego szczebla, czasami uzupełnianych przez władze stronnictw sojuszniczych) zależało wszystko, od reglamentacji nawozów i węgla opałowego po zatwierdzanie co drażliwszych wyroków sądów. PZPR była u władzy niewymienialna, bo nie było wolnych wyborów, choć warto zauważyć, że wymiana części I sekretarzy spłotła się kilkakrotnie z protestami społecznymi.

Był to system niewydajny, niesprawiedliwy, tuczający polityczne elity kosztem społeczeństwa i niesuwerenny względem ościennego mocarstwa. Transformację ustrojową można w uproszczeniu spro-

wadzić w tym kontekście do rozproszenia władzy monopartii, a także próbę wybicia się na pełną niepodległość. Temu służyła demokratyzacja, ale także wprowadzanie gospodarki rynkowej. Do tego celu miało prowadzić uniezależnianie sądownictwa, prokuratury, tworzenie samorządu, prywatyzacja przedsiębiorstw państwowych. Chciano także ugruntować istnienie instytucji niezależnych od władzy centralnej, ostatecznie usamodzielnic sądownictwo konstytucyjne czy Narodowy Bank Polski.

Rządy jak pacynki?

Niezależnie od spadku, jaki otrzymała po swoim komunistycznym poprzedniku, młoda liberalna demokracja była podatna na zagrożenia związane z pewnymi cechami zarówno demokracji jak i gospodarki rynkowej, które kształtują układ sił w państwie. W opublikowanej w 1957 roku książce „An Economic Theory of Democracy” Anthony Downs postawił tezę, że w państwie demokratycznym pierwotnym i podstawowym celem działań rządu (który autor definiuje jako partię znajdującą się aktualnie u władzy) jest utrzymanie się u władzy, a nie polepszanie dobrobytu społecznego. Downs nie twierdzi, że politycy są absolutnie cyniczni, wyzbyci myślenia o dobru wspólnym czy altruizmu, ale nie uważa tego ostatniego czynnika za decydujący. Politycy będą podejmowali decyzje maksymalizujące możliwość zdobycia głosów oraz minimalizujące ich stratę.

Według Downsa politycy nie robią tego, co chcą. Nie zdobywają władzy, by realizować swoje programy, ale piszą (i realizują) programy, by zdobyć władzę. Do prowadzenia działalności skierowanej ku zdobywaniu władzy, politycy potrzebują także pieniędzy i środków perswazyjnych –

reklamy, propagandy. Te środki dostarczyć mogą im przede wszystkim moi tego świata, głównie skupieni w grupach interesów, a zwłaszcza wielki biznes (choć także, ale w mniejszym stopniu, związki zawodowe). Dlatego też rządzący liczą się z nimi bardziej niż z jednostkowymi wyborcami.

Brak dekomunizacji i ślimacząca się, niekonsekwentna lustracja umożliwiły reprodukcję części elit z okresu PRL oraz wpływy przedstawicieli byłej Służby Bezpieczeństwa na polskie życie publiczne jeszcze na długie lata

To bardzo ogranicza pole manewru, także u tych, którzy jednak mają jakąś własną wizję rzeczywistości społecznej i starają się ją realizować z myślą o wspólnym dobru. Teoria Downsa jest niesprawiedliwa dla części polityków, ale świetnie wyjaśnia dlaczego polityka wygląda w rzeczywistości tak, a nie inaczej. W tym kluczu możemy tłumaczyć wiele decyzji podjętych w Polsce od lat 90-tych XX wieku do dziś – od *de facto* regresywnego i skomplikowanego systemu podatkowego, korzystnego dla najbogatszych, wybranych grup korzystających z niższych niż inni stawek oraz doradców podatkowych, przez przywileje podatkowo-składkowe i dopłaty dla rolników, przywileje emerytalne wy-

branych grup zawodowych, regulacje ograniczające rynek w różnych branżach po świadczenia socjalne przyznawane bez oglądania się na ich efektywność.

Z punktu widzenia określenia realnego ośrodka władzy był to czas pełen paradoksów. Zwłaszcza początek lat 90. był okresem, w którym polskie prawo było najbardziej plastyczne – kształtował się nowy ustroj i politycy podejmowali nieraz radykalne decyzje. Z drugiej, zazwyczaj pozabawieni finansowego zaplecza musieli liczyć się z różnymi lobbies, w tym silnymi jeszcze wówczas związkami zawodowymi (z perspektywy czasu nie docenia się ich wpływu na funkcjonowanie czy prywatyzację przedsiębiorstw państwowych) a także grupą protooligarchów (ostatecznie klasa oligarchiczna się jednak u nas nie wykształciła).

Brak dekomunizacji i ślimacząca się, niekonsekwentna lustracja umożliwiły reprodukcję części elit z okresu PRL oraz wpływy przedstawicieli byłej Służby Bezpieczeństwa na polskie życie publiczne jeszcze na długie lata. Ponadto wiele środowisk bez pardonowo wykorzystano daleko idącą niezależność, jaką otrzymały, czy też outsourcingowanie na ich rzecz różnych obowiązków, do poszerzania swojej władzy (sądownictwo) czy tworzenia renty politycznej (samorządy zawodowe). Koniec „komuny” nie oznaczał też pełnej niepodległości. Państwo półperyferyjne, jakim jest Polska, uzależniło się w kwestii bezpieczeństwa od Stanów Zjednoczonych Ameryki, w kwestiach bardziej politycznych i gospodarczych od Unii Europejskiej i jej *acquis communautaire*. Natura zależności jest tu inna (m.in. współtworzymy jako członek UE ład wewnątrz wspólnoty), jednak niezależnie od tego oraz od oceny bilansu zysków i strat (moim zdaniem: pozytywnego) obiektywnie jest to czynnik

ograniczający realną władzę sprawowaną w kraju przez jego obywateli.

Politycy wracają do gry

W pewnym momencie politycy rozpoczęli kontrofensywę dążącą do przynajmniej częściowego zgarnięcia dotychczas rozproszonej władzy, nad którą nie mieli kontroli. Możemy założyć, że chodziło o uniknięcie „pułapki Downsa”, czyli sytuacji, w której politycy chcący podejmować samodzielnie decyzje, gdy już dojdą do władzy, muszą wykonywać cudzą wolę, by przy tej władzy się utrzymać. Zamykanie rynku politycznego zaczęło się jeszcze w 1993 roku, jednak okres komasowania władzy przez partie polityczne na dobre rozpoczął się u progu XXI wieku, wraz z przyjęciem finansowania partii z budżetu państwa, powrotem do przeliczania głosów na mandaty metodą d’Hondta przed wyborami w 2005 roku oraz wprowadzeniem przez PO i PSL jednomandatowych okręgów wyborczych w wyborach do senatu w formie mocno ograniczającej możliwość wygrania elekcji przez kandydatów niezależnych. Także w tym kluczu można czytać spowolnienie i późniejsze wyhamowanie prywatyzacji w pierwszej dekadzie XXI wieku. Pozostawiało to w rękach polityków sporą władzę nad najpotężniejszymi przedsiębiorstwami w kraju.

Te ruchy same w sobie nie muszą być niczym złym. Ordynacja wyborcza z 1991 roku ułatwiała walkę o władzę i zwiększała reprezentatywność sejmu, z drugiej strony drastycznie utrudniała tworzenie rządu i realne rządzenie. Ograniczenie realnej konkurencji politycznej dwa lata później radykalnie uprościło sprawę. Finansowanie partii politycznych z budżetu w połączeniu z innymi czynnikami, w tym naszym kształtem relatywnie powolnej prywaty-

zacji i jednak sukcesywnym usprawnianiu instytucji kontrolnych spowodowało, że w Polsce nie ma dziś oligarchii. Mamy jednak oligopol partyjny, w ramach którego funkcjonuje polityka od dwóch dekad.

W Polsce nie ma dziś oligarchii. Mamy jednak oligopol partyjny, w ramach którego funkcjonuje polityka od dwóch dekad. W praktyce oznacza to władzę elit partyjnych

W praktyce oznacza to władzę elit partyjnych. Rozwój sytuacji w Polsce zbiega się jednocześnie z trendem utrwalania się kartelowego i mocno spersonalizowanego systemu politycznego w wielu liberalnych demokracjach. Partie polityczne już nie potrzebują wielu członków. To nie oni pokrywają koszty działalności ugrupowania płacąc składki czy darowizny, to nie oni są najważniejsi w kampanii wyborczej. Z kolei ci członkowie, którzy muszą z konieczności jednak pełnić jakieś funkcje w imieniu swojego ugrupowania, są ograniczani bezpośrednio przez stosowanie betonowej dyscypliny i system „przekazów dnia” lub pośrednio poprzez wycinanie z partii ludzi niezależnych na rzecz tych których los osobisty i rodzinny zależy będzie od lojalności oraz groźby użycia wobec nich haków. Mówiąc o rządach danej partii, mówimy w rzeczywistości o rządach wąskiej grupy kierowniczej bądź nawet samego lidera, który z konieczności musi niektóre zadania dele-

gować na innych. Ten model występował w PO Donalda Tuska i występuje także w PiS Jarosława Kaczyńskiego.

Władza stara się także uniezależnić od wyborców, zwiększając koszt zdobywania przez nich informacji, na podstawie których mogą podejmować wybory polityczne. Nie chodzi oczywiście o koszt finansowy, ale o wysiłek, jakim trzeba się wykazać, by dotrzeć do informacji przydatnych w celu podjęcia decyzji. Ludzie mają mało czasu na lekturę, dyskusję i weryfikację przekazywanych im faktów, a wiedząc że ich jednostkowy głos ma w wyborach niewielkie znaczenie (w polskich warunkach to raptem jeden z kilkunastu milionów innych głosów) uciekają się do mechanizmu, który Down ochrzcił mianem tzw. racjonalnej ignorancji. Interesują się polityką tyle o ile i podejmują decyzje na podstawie niewielkiej liczby danych. W tym kontekście należy także odczytywać polską polaryzację i odchodzenie polityków od tematów istotnych, postępujące, od kiedy u władzy wymieniają się PiS i PO. Gdy możemy się identyfikować z „samym dobrem” będącym na wojnie z „czystym złem” nie musimy pożytkować naszego czasu na analizę faktycznych skutków działań i zaniechań polityków.

Samoreprodukująca się władza

Okres rozproszonej władzy z dominującą rolą kartelu partyjnego zakończył się w 2015 roku, kiedy Prawo i Sprawiedliwość rozpoczęło drogę w kierunku budowania monowładzy partii. Mam tu na myśli partię w liczbie mnogiej. Celem wydaje się doprowadzenie do sytuacji, w której sprawujący władzę mają możliwie pełną sprawczość w sferze politycznej. By politycy mogli wreszcie samodzielnie podejmować decyzje i nie liczyć się z grupami

interesów oraz niezależnymi instytucjami czy prawem (koniec imposybilizmu prawnego). Jednocześnie wzmacnia narzędzia, które można wykorzystywać w celu utrzymania się u władzy.

Jednolita władza wykonawczo-ustawodawcza od samego początku podporządkowywała sobie niezależne instytucje takie jak Trybunał Konstytucyjny, sądownictwo czy prokuraturę. I wcześniej miało miejsce wpływ na te urzędy: Jan Rokita już w 2012 roku pisał na łamach „Rzeczy Wspólnych” o wręcz osobistym zatwierdzeniu przez Donalda Tuska kandydatów na sędziów TK. Jednak nigdy wcześniej w III RP nie było sytuacji, w której skład TK, a przede wszystkim jego prezes, byłby do tego stopnia powiązany z obozem władzy, prokuratura stawała się zbrojnym ramieniem rządu (przypomnijmy, że za rządów PO-PSL jednak ją uniezależniono), a sądownictwo stało przed realnym zagrożeniem bycia na pasku elity władzy.

Innym kierunkiem było wykorzystywanie dotychczasowych uwarunkowań do uczynienia z państwa nie tylko wehikułu do tworzenia renty politycznej, za którą można by kupować głosy, ale także źródła utrzymania dla obozu władzy. PiS wykorzystuje zasoby państwowe do utrzymania się przy władzy na wszelkie możliwe sposoby. System finansowania partii z budżetu został oczywiście utrzymany, rozbudowano i usprawniono jednocześnie wykorzystywanie spółek skarbu państwa do wspierania partii rządzącej i bliskich jej inicjatyw. Wcześniej też zatrudniano w SSP krewnych i znajomych królika (od których można oczekiwać wpłat na fundusz wyborczy), ale nie do tego stopnia. Nie finansowano także do tego stopnia mediów uprawiających propagandę na rzecz obozu władzy. Nie występowały też tak ordynarne

formy finansowania działalności propagandowej i ideologicznej, z jakimi mamy do czynienia dziś (np. finansowanie Polskiej Fundacji Narodowej czy działalność Funduszu Sprawiedliwości) a nigdy po 1989 roku TVP nie odgrywała do tego stopnia roli tuby propagandowej jednoznacznie opowiadającej się po stronie ekipy rządowej.

Pogłębia się także znaczenie racjonalnej ignorancji czerpiącej pewność słuszności wyboru ze stawania po jednej ze spolaryzowanych stron. Prawo i Sprawiedliwość, serwując propagandę w telewizji publicznej, a z drugiej strony ograniczając rynek poprzez np. postulowany podatek od reklam, dąży do tego, by koszt zdobywania informacji jeszcze podwyższyć. Z drugiej strony podnosząc temperaturę sporu stara się przekonać wyborców, że od tego, kto wygra wybory, zależą kwestie wręcz cywilizacyjne. Skupia uwagę wyborców na łatwiejszych sporach, dzięki czemu politycy nie muszą zdobywać głosów realnie dbając o dobrobyt społeczny, np. obecnie skupiając się głównie na walce z pandemią, co ułatwia rządzącym walkę polityczną.

Monowładza partii ułatwia także replikowanie władzy uniezależnione od wielkich grup interesów. Rządzący mogą finansować własną działalność za pośrednictwem osób zatrudnionych w spółkach i administracji, propagandę – dzięki reklamom i ogłoszeniom płatnym w mediach. Urzędowa i społeczna kontrola przepływów czy optymalności wydawanych środków staje się o wiele trudniejsza z powodu podporządkowania odpowiednich instytucji rządzącym oraz propagandowego przedstawiania konstruktywnej krytyki jako działania na rzecz opozycji. Ten system podwyższa także stawkę wyborów – stają się one walką o olbrzymie zasoby pomagające, względnie niezależnie

od innych czynników, w podejmowaniu takich decyzji, które pomagają utrzymać się przy władzy.

Czy system zostanie z nami na dłużej?

Prawo i Sprawiedliwość przyspieszyło proces uniezależniania władzy partii od czynników zewnętrznych. Jednocześnie Jarosław Kaczyński najwyraźniej nie zdaje sobie sprawy z tego, że w takim układzie może co prawda podejmować decyzje samodzielnie, ale nie znaczy to, że dzięki temu zawsze osiągnie to co będzie chciał.

W dobie pandemii nie da się zorganizować na chybcika wyborów minimalizując ryzyko eskalacji choroby, których wynik będzie miał poważną legitymizację. Władza państwa półperyferyjnego nie uchwali prawa otwarcie uderzającego w interes gospodarczy czy narracyjny mocarstwa, od którego zależy jego bezpieczeństwo bez reperkusji z jego strony. Przedsiębiorcy krajowi, poddani kolejnym restrykcjom, których sensu nie rozumieją, zwłaszcza gdy obserwują niepoważne zachowanie władz, coraz rzadziej będą się im potulnie podporządkowywać, gdy realna staje się groźba bankructwa. Podejmowanie decyzji „na rympał” przy jednoczesnym zasłanianiu się Trybunałem Konstytucyjnym (w którego niezależność i tak już nikt nie wierzy) w kwestiach tak drażliwych jak aborcja wywołuje protesty społeczne. Długofalowo może spowodować dystansowanie się społeczeństwa zarówno od partii rządzącej jak i od wartości, których ona rzekomo broni. Taki system polega także na nieustannym wytwarzaniu renty politycznej, na którą łakomią się różnej maści koterie i frakcje wewnątrz obozu władzy, które trzeba nieustannie obłaskawiać by...

nie stracić władzy nad władzą. W rzeczywistości w systemie monowładzy partii mamy do czynienia z iluzją pełni sprawczości.

Jak zachowa się obecna opozycja, gdy przejmie władzę? Czy po PiS da się w ogóle inaczej rządzić niż PiS? Być może system sam się podtrzymuje (do czasu jakiegoś kryzysu, który go zmieni). Pokusa, by nie korzystać z pozostawionych przez Kaczyńskiego zabawek, będzie bardzo duża. Istnieje też obawa przed utratą władzy,

Okres rozproszonej władzy z dominującą rolą kartelu partyjnego zakończył się w 2015 roku, kiedy Prawo i Sprawiedliwość rozpoczęło drogę w kierunku budowania monowładzy partii

bo w systemie monowładzy partii stawka jest ogromna. Przez pewien czas takie mogą być też zresztą oczekiwania opinii publicznej, która, gdy karta się odwróci, może być negatywnie ustosunkowana wobec PiS i będzie chciała odwrócenia wszystkiego, co robi PiS, osobliwie głównie w warstwie kulturowej, obyczajowej i symbolicznej. Nie bacząc na to, że najtrwalszą spuścizną po erze Kaczyńskiego może być właśnie system rządów: monowładza partii pod parasolem Zachodu pozwalającym politykom nie rozstrzygać problemów o znaczeniu egzystencjalnym dla państwa i wspólnoty politycznej.

Jego Wysokość Chaos, Król Polski



WITOLD SOKAŁA

Stały współpracownik „Nowej Konfederacji”,
wicedyrektor Instytutu Polityki Międzynarodowej i Bezpieczeństwa
Uniwersytetu Jana Kochanowskiego

Problem z Prawem i Sprawiedliwością jest taki: politycy tej partii zdają się nie przyjmować do wiadomości, że Polska jest (tylko – i aż!) średniej wielkości węzłem w wielowymiarowej, globalnej sieci

Odpowiedź na pytanie „kto rządzi Polską” wielu osobom może się wydawać oczywista. Prawo i Sprawiedliwość, Jarosław Kaczyński, ewentualnie jeszcze Kościół katolicki lub ojciec Tadeusz Rydzyk – takich odpowiedzi można się spodziewać. Kilka czy kilkanaście lat temu brzmiałyby – odpowiednio – Platforma (i Donald Tusk) oraz SLD (i Leszek Miller). Ale prawda, jak to ona zwykle, jest znacznie bardziej złożona. Owszem, w wewnątrz krajowym układzie sił rola tych partii i polityków jest niekwestionowana (dogłębnie analizował ją niedawno [na łamach NK Stefan Sękowski](#)). W dzisiejszych realiach równie ważny jest jednak układ zewnętrzny – i to jemu warto przyjrzeć się bliżej tym razem.

Nieco teorii i historii

Żeby nie komplikować spraw nadmiernie, zostawmy na boku opasłe tomiszczą i setki artykułów teoretycznych z dziedziny nauk o polityce, poświęconych zjawisku „władzy” oraz relacji tego pojęcia z „rządzeniem”,

„wpływem”, „kontrolą” itp. – i skupmy się na samym „rządzeniu”. I tak nie jest lekko. Jak obrazowo i przytomnie stwierdziła niegdyś, w swej znanej książce pt. „Governance”, duńska politolożka Anne Mette Kjaer: „Armia teoretyków rządzenia jest tak niejednorodna, że można by pomyśleć, iż słowo «rządzenie» jest jak etykieta na całej partii butelek, które następnie przesyłane są różnym producentom, i każdy z nich napełnia je produkowanym przez siebie napojem. Konsument musi być bardzo ostrożny”.

Bądźmy więc. Ale, że w wielu definicjach mamy dość powszechnie wspólne mianowniki, to na użytek dalszych rozważań jest się czego trzymać. Rozróżnijmy jeszcze tylko „rządzenie” jako ludzkie działanie i jako zjawisko. W tym pierwszym sensie będzie tu traktowane jako panowanie nad formalnymi i nieformalnymi zasadami gry politycznej, przy pomocy środków, które związane są z ustalaniem tych zasad oraz z rozwiązywaniem konfliktów (to – z grubsza – też Kjaer). A w drugim – jako proces (lub zespół

procesów) podejmowania i wprowadzania w życie określonych decyzji, z wykorzystaniem przymusu lub bez.

Przekonanie, że współczesnymi państwami rządzą (czyli: narzucają reguły gry oraz podejmują i wdrażają decyzje) wyłącznie lub nawet głównie prezydenci i premierzy, urzędujący w ich stolicach, jest tyleż powszechne, co archaiczne. Owszem – krajowi politycy, wymieniający się okresowo w fotelach i gabinetach, bardzo starają się podtrzymać wrażenie swojej sprawczości. Ale w dzisiejszym świecie jest ona, w najlepszym razie, mocno ograniczona.

W skomplikowanym systemie przenikających się wzajemnie sieci – państwa i ich rządy stały się tylko „węzłami”

Realna siła rządów centralnych w instytucji zwanej „państwem” ewoluowała na przestrzeni wieków wraz z tymże państwem. W europejskim średniowieczu miało ono charakter relatywnie „lekki”. Królowie i książęta, władający terytoriami, które dziś oznaczamy w atlasach historycznych różnokolorowymi plamami, mieli zazwyczaj bezpośredni wpływ na sprawy wojny i pokoju, sporą część prawodawstwa na obszarze owych plam oraz na swoje własne dwory. Ale wokół nich, w chaotycznym i dynamicznym systemie, odrębne kompetencje do rządzenia różnymi sferami życia społecznego i indywidualnego miały także inne podmioty, m.in. Święte Cesarstwo (na sporej połaci kontynentu),

Kościół, poszczególni feudałowie, samorządy miejskie i cechy, i tak dalej.

Stopniowe umacnianie władzy królewskiej i zdobywanie przez nią przewagi nad innymi aktorami trwało stulecia. Za ważną cezurę tego procesu historycy dość zgodnie uznają traktat westfalski, kończący wojnę trzydziestoletnią – i dlatego zazwyczaj określają panujący po niej porządek międzynarodowy właśnie „westfalskim”. Państwo było w nim „kulą bilardową” – podlegającą zewnętrznej przemocy, lecz „suwerenną” w środku. Dalsze procesy polegały nie tylko na umacnianiu władzy centralnej w tych państwach, ale też na poszerzaniu jej zakresu przedmiotowego. Już nie tylko sprawy wielkiej dyplomacji i wojny, nie tylko podatki i fundamentalne prawa – ale także koncesjonowanie działalności gospodarczej podmiotów prywatnych, coraz bardziej szczegółowe określanie jej reguł, edukacja, bezpieczeństwo wewnętrzne i porządek publiczny, i wiele innych sfer kolejno zawłaszczali królowie lub działający w ich imieniu politycy i urzędnicy. Nawet w kraju, wykazującym bodaj największy sceptycyzm wobec zwiększania kompetencji rządu centralnego, to znaczy w Stanach Zjednoczonych – jednak stopniowo „Kapitan Państwo” rósł w siłę. Apogeum tych trendów to XX wiek – gdy nawet w krajach demokratycznych (o autorytarnych i totalitarnych już nie wspominając) zakres władzy państwowej, mierzony tak „w głąb”, jak i „wszerz”, stał się historycznie bezprecedensowy.

Władza globalizacji

Ale potem zaczął się zaznaczać trend przeciwny. Wielkie korporacje, od tych przemysłowych po medialne, coraz śmiej rzucały wyzwanie rządóm centralnym.

Stopień skomplikowania polityki, będący poniekąd skutkiem łączywości polityków i państwowych biurokratów na regulowanie kolejnych dziedzin życia lub na bezpośrednie nimi zarządzanie, wymusił delegowanie części kompetencji i zadań w dół (do samorządów regionalnych i lokalnych) oraz „w bok” (do tzw. sektora trzeciego). Szok i trauma II wojny światowej spowodowały śmielsze niż po I wojnie światowej przekazywanie wielu zadań koordynacyjnych i kontrolnych organizacjom międzynarodowym. A jednocześnie szereg powiązanych ze sobą wzajemnie zmian technologicznych, społecznych i kulturowych sprawił, że ludzie stali się – generalnie – mniej skłonni do ulegania tradycyjnej, „pionowo” zorganizowanej władzy i do bezkrytycznego wykonywania jej poleceń. Miejsce hierarchii zajęły sieci, a rządzenie zaczęło w coraz mniejszym stopniu polegać na wydawaniu rozkazów (i ewentualnie siłowym ich egzekwowaniu), w coraz większym zaś na „zdobywaniu uwagi”, zdolności „do bycia brany pod uwagę” przez mocno rozproszonych decydentów cząstkowych, zdolności wpływania na emocje oraz subtelnego kreowania potrzeb.

W skomplikowanym systemie przenikających się wzajemnie sieci – państwa i ich rządy stały się tylko „węzłami”. Wciąż z natury rzeczy potężnymi, ale już nie jedynymi. I zazwyczaj z trudem uczącymi się nowego rodzaju interakcji z innymi, teoretycznie słabszymi, ale często niwelującymi różnicę potencjału przez sprawność w narzucaniu swoich reguł gry, obcych państwowym molochom. Do wspomnianych wcześniej transnarodowych organizacji gospodarczych, korporacji medialnych, między- i pozarządowych politycznych, ekonomicznych czy społecznych organizacji międzynarodowych, władz re-

gionalnych i lokalnych doszły też – w roli kolejnych węzłów sieci – jeszcze inne, w tym organizacje nielegalne (polityczne – np. etnoseparatystyczne i religijno-ideologiczne oraz „biznesowe”, czyli mafie), a także stanowiąca *de facto* dynamiczną magmę drobniutkich węzłków opinia publiczna.

Rzecz jasna, w różnych częściach świata znajdziemy bardzo różne przypadki, jeśli idzie o sprawczość centralnych rządów państwowych oraz ich miejsce w sieci. W komunistyczno-kapitalistycznych Chinach kontynentalnych mamy do czynienia również z władzą sprawowaną w modelu sieciowym, ale kluczowe węzły tej sieci są po pierwsze „wewnętrzne”, a po drugie jednak wszystkie (Biuro Polityczne KPCh, rząd, służby specjalne, kluczowe przedsiębiorstwa, itp.) są albo po prostu „państwowe”, albo pozostają pod faktyczną kontrolą organów państwowych. We Francji, tradycyjnie etatystycznej, jest w pewnym stopniu podobnie, choć stopień suwerenności teoretycznie państwowych koncernów względem nadzorujących ich ministrów jest zazwyczaj większy, niż teoretycznie prywatnych koncernów chińskich wobec tamtejszych polityków i generałów. Węzły zewnętrzne – choćby unijne czy „korporacyjne” – są też istotne. A w odniesieniu do Stanów Zjednoczonych, przy odrobinie fantazji, można spokojnie sformułować tezę, że – jako państwo – nie tyle są one „węzłem” jako takim, ile narzędziem do realizacji własnych interesów przez koalicję węzłów wewnętrznych i zewnętrznych, wśród których wymienia się m.in. Pentagon, CIA z przyległościami, parę wiodących think tanków i uniwersytetów, przynajmniej kilkanaście wielkich firm, ale też np. społeczność żydowską, dbającą o interesy dwóch swoich ojczyzn jednocześnie (w Polsce taki koncept jako

pierwsza przedstawiła bodaj Jadwiga Staniszkis w swej „Władzy globalizacji”).

Suwerenność w sieciach

Nic więc dziwnego, że kraje mniejsze i słabsze od wymienionych – jak chociażby Polska – oraz ich rządy są węzłami, na które tym mocniej oddziałują przeróżne inne węzły, zlokalizowane poza granicami danego państwa. Pytaniem istotnym z punktu widzenia analizy „rządzenia Polską” nie jest więc pytanie o to „czy” (bo tu odpowiedź jest oczywista), lecz: „jakie” i „w jaki sposób”. Bez rzetelnej analizy tychże, nie odpowiemy sobie bowiem na pytanie następne: co można i należy zrobić, by w warunkach globalizacji, usieciowienia itp. uzyskać maksymalną możliwą sterowność naszej państwowej nawy i jak najwyższą jakość rządzenia. Dodajmy: rządzenia w interesie obywateli RP, a nie partykularnych interesów tego czy owego węzła wewnątrz czy na zewnątrz kraju.

Nowocześnie pojmowana suwerenność, realizowana w opisanych przed chwilą uwarunkowaniach, nie polega bowiem na pełnym i nieskrępowanym prawie rządu do robienia tego, na co tylko owemu rządowi przyjdzie ochota. Polega natomiast na poszukiwaniu – w interesie obywateli! – optymalnych sposobów, by „być brany pod uwagę” w zbiorowych decyzjach ważnych sieci. I właśnie w ramach owej optymalizacji, Rzeczpospolita jakiś czas temu suwerennie postanowiła scedować część swoich uprawnień do rządzenia – między innymi wstępując do NATO i Unii Europejskiej.

To oznacza, że te organizacje w pewnym stopniu „rządzą Polską”, za jej wiedzą i zgodą. I to, powtórzmy, w dzisiejszym świecie problemem nie jest. Owszem, może się on pojawić, gdy zakres owego

rządzenia nami z zewnątrz wykracza poza to, na co się niegdyś umówiliśmy.

Takiej sytuacji można się dopatrzeć odnośnie naszego członkostwa w sieci transatlantycznej. Wynika to z jej konstrukcji: USA są w jej ramach węzłem kluczowym, lub jak to woli „hubem”,

Inaczej rzecz się ma z Unią Europejską. Tutaj nie ma aż tak wyraźnego hegemonia, bo nawet najsilniejsze państwa, jak Niemcy czy Francja, można jednak zrównoważyć funkcjonalnymi koalicjami mniejszych graczy

z racji swego potencjału wojskowo-politycznego i gospodarczego zdecydowanie dominującym nad pozostałymi. Sposób i skala korzystania przez hegemonia z tej uprzywilejowanej pozycji jest zmienny w czasie i w przestrzeni; zależy od szeregu czynników, wśród których najważniejsze to nastawienie aktualnej administracji amerykańskiej oraz asertywność konkretnego partnera. Na pierwszy z tych czynników Polska wpływu nie ma. Na drugi – jak najbardziej. W uproszczeniu – jesteśmy więc wobec USA (i pośrednio wobec NATO) na tyle suwerenni i samodzielni, na ile potrafimy sobie to wytargować. Niestety, nigdy nie było z tym dobrze, a ostatnie doświadczenia w tym zakresie nie skłaniają niestety do optymizmu. Mentalność (i brak profesjonalizmu) znacznej

części naszych elit politycznych powoduje, że Polska regularnie przyjmuje rolę posłusznego wasala, zamiast młodszego i słabszego, ale partnera. Przykłady można mnożyć: od „nagrodzenia” Leszka Millera sutym stypendium w USA za jego wierne wykonywanie polecań Waszyngtonu w czasie wojny z Irakiem, poprzez sposób prowadzenia negocjacji o tarczy antyrakietowej jeszcze za czasów PO, po najnowsze: wrobienie nas w niesławną konferencję bliskowschodnią w Warszawie, pokorne przyjmowanie reprimend od ambasador Mosbacher (niezależnie od ich merytorycznej słuszności – nie było to coś, co budowało w Polakach dumę z ich państwa), pamiętne, fatalne rozegranie protokolarne wizyty prezydenta Dudy w USA, regularne dawanie się wodzić za nos obietnicą „paciorków” w postaci zniesienia wiz, itd.

Przesadą byłoby oczywiście stwierdzenie, że „Stany rządzą Polską” permanentnie. Ale nasze własne błędy i zaniedbania: brak profesjonalnej dyplomacji publicznej, zdolnej oddziaływać na wpływowość osobistości i na opinię publiczną w USA (a więc pośrednio także na ich rząd), brak ukierunkowanego lobbingu, a przede wszystkim – niezachowanie sobie nawet minimalnego pola manewru w postaci choćby hipotetycznej alternatywy i regularne wysyłanie wiernopoddańczych sygnałów, to wszystko spowodowało, że cena, jaką płacimy za amerykańsko-natowski parasol bezpieczeństwa jest chwilami wyjątkowo wysoka. Bo Amerykanie, gdy faktycznie chcą i mają w tym wyraźny interes, po prostu są w stanie „rządzić Polską” przynajmniej chwilowo i w zakresie pewnych konkretnych polityk.

Inaczej rzecz się ma z Unią Europejską. Tutaj nie ma aż tak wyraźnego hegemonia, bo nawet najsilniejsze państwa, jak Niemcy

czy Francja, można jednak zrównoważyć funkcjonalnymi koalicjami mniejszych graczy. Znaczniejszy jest też wpływ aktorów pozapaństwowych, co wynika w dużej mierze z bardziej „miękkiego”, nieco neośredniowiecznego charakteru mapy wpływów i zależności w integrującej się Europie. Nawet kraje o teoretycznie mniejszym potencjale od naszego potrafią w tej Unii całkiem skutecznie chronić swoje interesy i uzyskiwać okresowo wpływ na istotne dla nich decyzje wspólnoty. Czynią to przy pomocy – między innymi – sprawnej i koncyliacyjnej dyplomacji, poszukującej aktywnie kompromisów zadowalających możliwie szeroką gamę uczestników, ale też poprzez budowanie swoich wpływów w coraz silniejszej, „pozapaństwowej” unijnej biurokracji. Nie trzeba chyba przypominać, jak od lat (ale w ostatnich latach szczególnie) ta druga kwestia jest zaniedbywana w przypadku Polski.

Twarde stanowisko – owszem, sprawdza się niekiedy jako taktyka negocjacyjna. Unia do tego przywykła, to nic innego, jak stara, dobra szkoła dyplomacji, przez stulecia cyzelowana m.in. w Londynie, Paryżu, Wiedniu, Sztokholmie, Berlinie czy Madrycie. Rzecz jednak polega na tym, że im ostrzejsze wygłasza się oświadczenia, tym więcej mieć trzeba w zanadru pomysłów, jak się z nich wycofać z twarzą, gdy na stole pojawi się atrakcyjny kompromis. Całkiem niedawno parę razy pokazał to np. Viktor Orbán. My na razie znacznie częściej poprzestajemy na pierwszym elemencie, po czym zostajemy z pustymi rękami i propagandowymi hasłami o „moralnych zwycięstwach”.

Czy to oznacza, że Unia rządzi Polską? W pewnym stopniu tak, gdy przywołamy definicje rządu, odnoszące się do ustalania reguł gry, tyle, że na takie „rządzenie” jednak przystaliśmy dobrowolnie (i nawet

jeśli niektórym politykom nie na rękę jest dziś o tym pamiętać, to wśród przystających byli też kluczowi politycy PiS, z obydwojoma braćmi Kaczyńskimi na czele). Gdy popatrzymy na możliwość podejmowania konkretnych działań w ramach owych reguł ogólnych, to zakres naszej samodzielności wciąż jest jednak relatywnie znaczny. Ale – uwaga – wynika to w dużej mierze z tego, że Unia, wciąż jeszcze mało pozbierana wewnątrz, z wielu narzędzi nie umie lub nie chce korzystać. Ten stan nie będzie raczej trwał w nieskończoność. Wniosek – już niebawem możemy stanąć wobec alternatywy, czy z mocniej integrującej się struktury wyjść, czy nauczyć się bardziej wpływać na jej zbiorowe decyzje. To pierwsze jest względnie łatwe, ale raczej krótkowzroczne, bo miejsca na mapie i miejsca w gospodarce światowej sobie nie zmienimy, więc Unia i tak będzie nami wtedy (współ)rządzić, tyle że już nawet bez pozorów pytania nas o zdanie. Drugie jest tyleż trudniejsze, co bardziej obiecujące. Wymaga jednak zupełnie innego spojrzenia na integrację europejską i mechanizmy władzy europejskiej, niż dominujące dotychczas.

W szponach chaosu

W pewnym stopniu podobnie ma się rzecz z innymi, zewnętrznymi węzłami sieci, w których chcąc nie chcąc funkcjonuje nasz kraj i my sami. Nie ma co zamykać oczu na fakt, że w różny sposób próbują manipulować naszymi instytucjami takie ośrodki, jak służby specjalne przynajmniej paru państw ościennych oraz specjednostki działające komercyjnie na rzecz pewnych międzynarodowych korporacji. Tak to się w dzisiejszym świecie dzieje – państwa nie są jednak wobec takich działań bezradne, o ile mają profesjonalne, dobrze

zadaniowane i dofinansowane służby i instytucje własne. Ta gra się nigdy nie kończy, ale da się wychodzić z niej względnie cało. Odnośnie Polski – niestety, można mieć czasami wrażenie, że albo mamy (chwilowe) szczęście, bo żaden poważny agresor nie wziął się za nas na razie na serio, albo przeciwnie, że różne zakulisowe siły przejęły już kontrolę nad istotnymi fragmentami polityk publicznych, tyle że są na tyle cwane, by się z tym nie afiszować.

Jeśli dzisiaj ktoś rządzi Polską – to tak naprawdę przede wszystkim jest to Jego Wysokość Chaos

Również istotnymi węzłami są organizacje międzynarodowe, działające często z dala od strefy zainteresowania popularnych mediów, o charakterze technokratycznym, ale ustalające reguły i wymuszające konkretne działania w sferach życia niezwykle istotnych. Często będące organizacjami wyspecjalizowanymi ONZ, ale nie tylko. O ich faktycznym znaczeniu opinia publiczna dowiaduje się okazjonalnie i wrywkowo: jak na przykład o Światowej Organizacji Zdrowia (WHO) „dzięki” pandemii albo o roli Międzynarodowego Związku Telekomunikacyjnego (ITU) przy ustalaniu strategicznie ważnych standardów technicznych, związanych z warunkami rywalizacji na rozwijającym się rynku usług związanych z technologią 5G (i za moment także 6G). Teoretycznie – rządy realizują tam swoją politykę za pośrednictwem delegowanych przez siebie przedstawicieli. Ale, po pierwsze, głosy

państw mają na forum tych organizacji różną wagę faktyczną. Po drugie zaś, kluczową rolę w przygotowaniu merytorycznych decyzji mają tam jednak gremia ekspercko-biurokratyczne, w znacznym stopniu reprezentujące bądź to interesy własne, bądź najsprawniejszych spośród zewnętrznych i wewnętrznych lobbystów.

Proponowana lista istotnych węzłów zewnętrznych jest, siłą rzeczy, skutkiem pewnego subiektywnego wyboru. Pozwolę sobie pominąć na przykład reptilian (brak dostępnych materiałów do analizy). Odkładam również na bok teorie o globalnym spisku masonskim. I od razu przepraszam zawiedzionych, ale na podstawie wiedzy *insidera*, zgromadzonej przez wiele lat uczestnictwa w pracach jednego z naj-

wiekszych, międzynarodowych zakonów wolnomularskich, a także w świetle cudzych i własnych badań naukowych – muszę stwierdzić, że o ile np. w wieku XVIII, XIX, a nawet na początku wieku XX rzeczywiście da się zidentyfikować wpływ organizacji spod znaku cyrkla i węgielnicy na polską politykę, to w obecnym stuleciu absolutnie nie. Pewnie i tak niektórzy nie uwierzą, ale trudno.

Konkluzja z całości rozważań jest zaś tyleż prosta, co niepokojąca. Jeśli dzisiaj ktoś rządzi Polską – to tak naprawdę przede wszystkim jest to Jego Wysokość Chaos. Próbuje rządzić nie tylko nami, jego lepkie macki odnajdziecie Państwo na całym świecie. Ale my pozwalamy mu na stosunkowo dużo. Za dużo.

Polska inteligencja. Etos czy relacje władzy?

Z prof. Tomaszem Zaryckim
rozmawia Krzysztof Wołodźko



TOMASZ ZARYCKI

socjolog i geograf społeczny, profesor w Instytucie Studiów Społecznych im. Profesora Roberta Zajonca na Uniwersytecie Warszawskim oraz jego wicedyrektor.

Inteligencja ustanawia standardy myślenia o rzeczywistości. Ma zdolność narzucania swoich uprzedzeń i swojej pogardy

Krzysztof Wołodźko: W książce „Totem inteligencki”, napisanej wspólnie z Rafałem Smoczyńskim, mówią panowie o specyfice polskiej struktury społecznej, w której brakowało i brakuje klasycznej burżuazji, czyli elity kapitału ekonomicznego. Stwierdzacie: „Polskość jest relatywnie silnie definiowana w kategoriach kulturowych osadzonych w przeszłości, co dodatkowo eksponuje rolę fantazmatycznych praktyk w jej reprodukcji”. Jak wygląda nasza struktura społeczna? Czy odtwarza się w procesach długiego trwania?

Tomasz Zarycki: Elita kapitału ekonomicznego powoli u nas powstaje. Ale to bardzo młoda grupa społeczna. O jej charakterystykę wciąż trudno, bo brakuje szczegółowych, empirycznych i statystycznych badań. Dodatkowo, wbrew pewnej opinii, wielu bogatych Polaków naprawdę woli nie obnosić się ze swoim rzeczywistym

majątkiem. Problemem jest też z pewnością brak długiego trwania – struktura społeczna, w której żyjemy, powstała stosunkowo niedawno.

Elity ekonomiczne w krajach zachodnich są głęboko zakorzenione w tamtejszej rzeczywistości. Zachodnia burżuazja, oprócz tego, że ma naprawdę solidne pieniądze, jest starą burżuazją. Bazuje na procesie długofalowego dziedziczenia kapitału ekonomicznego. Nie dotyczy to wszystkich, ale na Zachodzie niektóre burżuazyjne rody mają już po kilka wieków. To są ich fabrykanckie, przemysłowe tradycje kulturowe. I realne kapitały ekonomiczne, które dziedziczą. U nas ten proces właściwie nigdy na dobre nie ruszył, a kilkakrotnie został wręcz brutalnie przerwany.

W Polsce mówi się na ogół o kilku nazwiskach oligarchów, z którymi, „jak z Kulczykiem” – statystycznie żyje się

nam świetnie. Dodatkowo termin „nowobogacy” ma zdecydowanie pejoratywny odcień.

Pojęcie „nowobogactwa” wskazuje, że nasza rodząca się elita kapitału ma również nie najwyższy symboliczny status. W znacznej mierze decyduje o tym inteligencja jako grupa społeczna. To ona ustanawia przeróżne standardy myślenia o rzeczywistości. Ma strukturalną zdolność narzucania swoich uprzedzeń i swojej inteligentkiej pogardy.

Inteligencja buduje kulturą hierarchię w Polsce. A często ma wręcz rodzinne, towarzyskie i ogólnospołeczne zdolności do legitymizowania i delegitymizowania zachodzących u nas zjawisk.

Trudno uwierzyć, że przed „chudym inteligentem” drży zamożniejszy biznesmen.

Dla przeciętnego inteligenta nasza młoda elita kapitału jest oczywiście bardzo bogata. Ale tak naprawdę rodzima burżuazja wcale nie jest tak zasobna – nawet w porównaniu z krajami sąsiednimi. Najbardziej jaskrawe różnice widać w porównaniu z Ukrainą i Czechami.

Co więcej, nawet tak zwani polscy oligarchowie mają powody, by obawiać się wpływów zachodnich koncernów na rodzimym rynku. Jeszcze nie tak dawno – nie czują się kompetentny, by oceniać, jak jest teraz – interesy zachodnich koncernów często przeważały w politycznym myśleniu nad interesami tutejszego biznesu. Wielu przedsiębiorców miało przekonanie, że ich głos nie do końca się liczy, że na tutejszym rynku muszą ustąpić przed zachodnim kapitałem, a – jak potwierdzały badania – państwo polskie, podobnie jak i sąsiednie, rzeczywiście

uważniej wśluchiwało się w głos zachodnich lobbystów. Dodatkowo wpływy elity kapitału ograniczają nad Wisłą spółki skarbu państwa.

Ten obraz godzi w wizję „wszechmocnych Kulczyków”. I dowartościowuje inteligenta, o którym tak często mówi się dziś z przekąsem.

Specyfika naszych klas wyższych trudna jest do uchwycenia z pomocą klasycznych narzędzi zachodniej socjologii. Wynika to z dużego znaczenia inteligencji.

Dla przeciętnego inteligenta nasza młoda elita kapitału jest oczywiście bardzo bogata. Ale tak naprawdę polska burżuazja wcale nie jest tak zasobna – nawet w porównaniu z krajami sąsiednimi

Z góry zaznaczam, że w swoich badaniach przyjmuję specyficzne, niezbyt szerokie jej rozumienie. Skupiam się na jej strukturalnym znaczeniu, a nie na deklarowanym etosie. Liczy się dla mnie jej umiejscowienie w kategoriach kapitałów ekonomicznego, kulturowego i społeczno-politycznego.

Dla inteligenta zawsze najważniejszy jest kapitał kulturowy – przede wszystkim w sensie rozumienia własnej pozycji społecznej. Nawet dla bardzo zamożnych inteligentów, bo i z takimi mamy dziś do czynienia, to kapitał kulturowy pozostaje głównym zasobem gwarantującym ich

status. Nawet jeśli człowiek taki trafi do rządu, to jego realny i długotrwały status wciąż oparty jest na kapitale kulturowym. O jego statusie i dalszej karierze decyduje elitarna kompetencja, na którą składa się zarówno wiedza w rozumieniu akademickim, jak i wyniesiony często z domu zasób wiedzy nieświadomej, w tym tzw. ucieleśnionej, a więc wyrażającej się w zautomatyzowanych odruchach.

To wystarczy?

Ważny jest także kapitał społeczny. Inteligent powinien należeć do inteligentkiej sieci. Szczególnie istotne jest to w przypadku inteligentkiej elity: ci ludzie muszą należeć do bardzo konkretnych sieci społecznych, przynależność lub brak przynależności do nich decyduje o ocenie jednostki, ocenie jej znaczenia i przydatności.

Nieodłącznym kryterium jest zatem uznanie innych inteligentów. Wiadomo, że „nasz człowiek” jest prawdziwym inteligentem.

A który to, przepraszam, „nasz człowiek”?

Poszlaką decydującą o kryterium „naszości” i ważności inteligenta, o kryterium nieformalnego włączenia, co do którego nigdy nie wiadomo do końca, kto o nim decyduje, jest słowo: „wszyscy”. Na przykład: „wszyscy” byli na spotkaniu z tym, a nie innym człowiekiem, „wszyscy” się z nim zgadzają, „wszyscy” go doceniają lub potępiają.

Gdy słucha się choćby wspomnień starych inteligentów, czyta rozmowy z nimi, to pojawia się fraza, że była jakaś kolacja, uroczystość, wydarzenie i „wszyscy tam byli”.

Wszyscy, czyli nasza grupa znacząca?

To „wszyscy” z boku może brzmi niejasno, ale dobrze wskazuje, że w poszczególnych środowiskach inteligentkich elit dobrze jest zdefiniowane i określone, kto jest kim.

A gdzie etos?

Nieco prowokacyjnie marginalizuję, czy wręcz deprecjonuję to, o czym polscy inteligenci tak chętnie mówią: wartości i poświęcenie, czyli właśnie etos.

On nie jest ważny?

To bardziej skomplikowane. Etos jest istotny, umiejętność wpisania się weń to ważny składnik kapitału kulturowego, ale to równocześnie narzędzie, służące w sporach o inteligentką legitymizację.

Określenie, co jest prawdziwą inteligentką tożsamością, która wersja mitu/etosu jest właściwa, kto jest ich słusznym lub największym ucieleśnieniem, jest nie tylko mocno subiektywne, ale i związane z konfliktami i napięciami w inteligentkich środowiskach.

Mówiąc nieco cynicznie: to problem walki o władzę w środowiskach inteligentkich. Ta walka jest wypierana, bo inteligenci nie lubią mówić wprost o własnych hierarchiach i walce o rząd dusz. Co najwyżej wskazują, że ten problem występuje w konkurencyjnych środowiskach. We własnym środowisku jest się zawsze z poświęcenia i nigdy nie próbuje się nad nikim wywyższyć.

Mit i etos działają jako fasada, za którą można ukryć interesowność i relacje władzy. Co nie znaczy, że odwołanie się do nich musi wiązać się cynizmem – zapewne

większość inteligentów nawiązuje do nich w poczuciu bezinteresowności.

Zastanawiam się nad wątpliwą jednorodnością inteligencji. Trudno wyobrazić sobie, żeby na przykład w pierwszej dekadzie transformacji taką samą pozycję miał szybko bogacący się krakowski inteligent, który dodatkowo wyrabiał sobie nazwisko w szerszym świecie, i wiejska nauczycielka, której szkołę właśnie zamykano.

Jest jasne, że w przypadku tak zwanych drobnych inteligentów zasób kulturowy będzie znaczył więcej niż status majątkowy czy realny wpływ społeczny. Natomiast inteligencka elita działa trochę na zasadzie klubów wpływowych osób, budując znaczące sieci społeczne. I do tych klubów jest się arbitralnie włączanym – zasób kulturowy wciąż jest bardzo ważny, ale wyraźniej zaznacza się konkretna sieć społeczna.

Gdy słucha się choćby wspomnień starych inteligentów, czyta rozmowy z nimi, to pojawia się fraza, że była jakaś kolacja, uroczystość, wydarzenie i „wszyscy tam byli”

Małomiasteczkowy inteligent należy do innego świata społecznego niż warszawski czy krakowski inteligent z wielkomiejskiej elity. Ale łączy ich pewna nić kulturowo-społeczna. Oni spotykają się w miejskich i małomiasteczkowych do-

mach kultury, bibliotekach, gdy drobniejsi inteligenci przychodzą na wieczór autorski i słuchają wybitnego gościa. To jest pewne świadectwo siły inteligencji, że potrafi się przebić poza klasowe podziały, poza podziały centrum-peryferie.

W pierwszej połowie XX wieku kwestie inteligencji i awansu społecznego badał Józef Chałasiński. Czy w III RP dysponujemy równie wnikliwym, niekiedy obfitującym w niemal anegdotyczne szczegóły obrazem przemian, jakie dotknęły inteligencję w czasach transformacji?

To trudne pytanie. Często mam poczucie spekulatywności współczesnych badań, w tym własnych, dotyczących tego tematu. Po części wynika to z tego, że w badaniach ilościowych, ankietowych, upodabianych polską socjologię do zachodniej, ten fenomen gdzieś znika. Natomiast bardziej humanistyczny nurt socjologii, owszem, potrafi burzliwie spierać się o inteligencję, czy czasem wręcz się jej wypierać.

Chałasiński w swoich pracach był po części publicystą, wyrazicielem pewnego historycznego momentu i tożsamości części inteligenckiego środowiska. Udało mu się opisać i dowartościować część młodszej, bardziej lewicowej inteligencji, która doszła do głosu jeszcze w czasach przedwojennych i z czasem zaczęła współpracować z władzami PRL-u. Na kontrze, negatywnie, przedstawił starsze od nich na ogół, bardziej prawicowe środowiska inteligenckie. Ten opis bardzo długo rezonował w polskiej socjologii, ponieważ nie tylko oddawał pewien realny konflikt między inteligentami, ale po wojnie wpisywał się w ideologiczny paradygmat.

Dziś nie ma tak jaskrawych przykładów opisu współczesnej inteligencji. Być może

właśnie dlatego, że jej rola jest jeszcze lepiej niż wcześniej znaturalizowana, a więc mniej widoczna.

Obecnie mowa wręcz o postinteligencji: ludziach z tytułami magistra, albo i doktora nauk humanistycznych, którzy być może niegdyś opisywaliby samych siebie jako inteligentów, ale dziś – przykładowo – pracują na niższych i wyższych szczeblach w zachodnich korporacjach.

Z pewnością masowość wykształcenia stanowi wyzwanie dla badań nad współczesną inteligencją. Na Uniwersytecie Warszawskim studiuje obok siebie młodzież z zupełnie różnych światów. Obserwuję, że szczególnie starsi profesorowie mają niemal podświadomą zdolność wychwytywania, kto z tej młodzieży należy do wielopokoleniowej inteligencji, a kto przychodzi z innych środowisk.

To jakiś szczątkowy egalitaryzm?

Nie nazwałbym tak tego. Wielu z tych młodzi ludzi wspólnie studiuje na publicznych uczelniach, zawiązuje studenckie znajomości, ale później ma zupełnie inne ścieżki kariery. A to przede wszystkim dlatego, że Polska jest jednym z nielicznych krajów, w którym brak instytucjonalizacji naprawdę elitarnego szkolnictwa wyższego.

W wielu państwach zachodnich ta młodzież uczyłaby się na zupełnie różnych uczelniach i w ogóle by się ze sobą nie stykała. Młodzi ze starych, zamożnych i inteligentnych domów, idą zwykle drogą wytyczoną przez rodzinę, korzystają z niewidocznych często kapitałów. Dzieci nowych wzbogaconych dziedziczą firmy, a dzieci starej inteligencji dziedziczą jeśli

nie zawody, to sieci kontaktów swoich rodziców i swojego środowiska.

Jak niegdyś arystokracja, od lewa do prawa dziedziczą też nazwiska. Ale wróćmy do postinteligencji.

Istnieją ludzie, którzy należą do inteligencji, nierzadko starej i zamożnej, ale dezawuują jej spuściznę lub próbują się od niej odciąć. Wynika to z tego, że bezpośrednio odwołanie do inteligentkiej tożsamości jest dziś mało popularne. Ale to nie znaczy, że zniknęły inteligentne struktury i korzyści z inteligentnego usieciowienia.

Inteligentność nie jest dziś źródłem społecznego prestiżu, ściślej – kojarzona jest z jakąś formą wywyższania się, źle widzianą we współczesnej kulturze masowej. Odcięcie się od „bycia inteligentem”, czy wręcz od hegemonii inteligentnej, chroni przed zarzutem, że ktoś się wywyższa, że jest arogancki w swojej inteligentności. Ale według mnie to powierzchowne zjawisko, związane z przemianami tożsamościowymi i językowymi.

I jeszcze jedno – częścią inteligentnego nimbu jest mit końca. Nieraz uderzało mnie to zjawisko – każde pokolenie inteligencji uważa się za ostatnie. Ten schemat powtarza się od powstania styczniowego i wraca w kolejnych dziejowych odsłonach.

To ma pewne dziejowe uzasadnienie – bezpowrotnie stracona prawdziwa elita?

To jest też stały motyw walki inteligentnych frakcji: prawdziwa inteligentna elita odeszła, a ich następcy, a nasi oponenti, są już niższej rangi. Tamci, po drugiej stronie, to już łże-elita, albo „nowa elita”. Taką argumentację znajdzie pan po każdej stro-

nie naszych polskich sporów, podobnie było zawsze i jest w świecie rosyjskiej inteligencji.

Charakterystycznym zjawiskiem są pogrzeby „ostatnich inteligentów”. Zgromadzeni nad trumną przekonują, że wraz ze zmarłym kładą do grobu wszystko, co najlepsze, cały inteligencki i kulturalny etos. My zaś żyjemy pośród chamstwa, niczym nędzne odbicia tych wielkich, co odeszli.

A to nie poprawia samopoczucia tym, co nad grobem? Bądź co bądź, to oni wygłaszają pożegnalne mowy, na nich skupia się uwaga słuchających.

Moim zdaniem to ukryty język inteligenckiej autopromocji: „Ja jestem tym, który żegna ostatniego wielkiego, to ja chodziłem na jego seminarium, ja z nim wypalałem papierosa za papierosem, ja u niego bywałem, jestem z nim spokrewniony”. I tym samym mówca daje znać, że gdyby ktoś pytał o zmarłego, to właśnie do niego trzeba w tej sprawie dzwonić.

To wszystko odbywa się w obrębie pewnej nieformalnej struktury dziedziczenia inteligenckiego wpływu i prestiżu, ale nie można o tym wprost powiedzieć, bo to by zaprzeczało inteligenckiemu etosowi.

Niektórzy jednak zbyt długo zaniedbują kwestię sukcesji i różne nieodpowiednie środowiska przejmują etos przynależny zmarłemu [śmiech].

Zmiany w mitologii społecznej/narodowej wydają się ostatnio niekorzystne dla prawicy. Publicystycznie słyszymy o upadku katolickiego imaginarium, a socjologicznie zaznacza się odchodzenie młodych od Kościoła i ich ideowy skręt w lewo. Ma pan poczucie

dużej zmiany społeczno-ideowej, czy raczej nie aż tak znacznej korekty kursu?

Dopiero z pewnego dystansu dowiemy się, czy na naszych oczach dzieje się naprawdę duża rewolucja, czy pewne przesunięcia w sferze światopoglądowej.

Jeśli jednak spojrzeć na to przez pryzmat inteligenckich sporów w Polsce, to postawiłbym hipotezę, że te zmiany, nawet jeśli są istotne, to nie muszą zagrozić samej inteligenckości.

Dziś mamy do czynienia ze schyłkiem zjawiska, które zaczęło się w latach 70. XX wieku, gdy polska religijność, w szczególności kształcącej się młodzieży – po dosyć zsekularyzowanych latach 60. – zaczęła wzrastać

Rola Kościoła katolickiego w tożsamości polskich elit nie jest aż tak niezbędna. Przypomnijmy sobie choćby, że nasza XIX-wieczna inteligencja była w znacznej mierze zsekularyzowana. Co prawda antyklerykalizm polskiej inteligencji nie był wówczas aż tak agresywny i wojujący – co różniło go od postępowej rosyjskiej inteligencji tamtych czasów – ale daleko też mu było do wzoru Polakakatolika.

Odchodzące pokolenie tak zwanej lewicy laickiej wydaje się dziś ich młodszym następcom i następczyniom niemal reakcyjne.

Dziś mamy do czynienia ze schyłkiem zjawiska, które zaczęło się w latach 70. XX wieku, gdy polska religijność, w szczególności kształcącej się młodzieży – po dosyć zsekularyzowanych latach 60. – zaczęła wzrastać. Dobrze to pokazał prof. Stefan Nowak w pracy „Studenci Warszawy: studium długofalowych przemian postaw i wartości: praca zbiorowa” – badane przez niego pokolenia studentów w latach 60. były mało religijne. To się zmieniło z pontyfikatem Jana Pawła II, wybuchem „Solidarności”, a wcześniej z ruchem oazowym. Dziś wiemy z wielu relacji, że nawet jeśli nie wszyscy młodzi ludzie zaczęli wówczas głęboko wierzyć, to tłumnie chodzili na msze za ojczyznę. Wtedy zaczęło się to, co dziś topnieje, gdy rola Kościoła w naszym życiu społecznym zmniejsza się wyraźnie. Trudno to jednak uznać za koniec polskości, to koniec pewnego wielodekadowego cyklu.

Można też dodać, że lata 70. to początek szerszego geograficznie procesu swoistej retradycjonalizacji, która zauważalna była w szczególności w środowiskach inteligencji krajów bloku sowieckiego. Wiązać to można ze stopniowym upadkiem jej wiary w modernizacyjną moc projektu komunistycznego po roku 1968.

Wiemy do jakich symboli odwołuje się rządząca prawica i jej inteligentkie zaplecze. Wiemy też, że starsze pokolenie, kojarzone choćby z Komitetem Obrony Demokracji, odwołuje się do solidarnościowego patosu i tak zwanej kaczmarzczyzny. A młode protestujące pokolenie miało ostatnio nie tylko bluzgi, ale też swoje portale i lektury, swoje napisy na kartonach, często mocno inteligencko-aluzyjne. Z drugiej jednak strony, czy to gromkie „w.....ć” i „** *” Strajku Kobiet nie kłóci się**

z wizerunkiem „młodej polskiej inteligencji”?

Moim zdaniem dzisiejsze formy protestu są jednak bardzo inteligentne – przy całej swojej kontrowersyjności, czy obraźliwym dla niektórych charakterze.

Jesienne protesty bazowały na przekonaniu, że uczestnicy mają prawo do obywatelskiego protestu, że są społecznie odpowiedzialni, że się angażują. Ten patos jest mocno inteligentki, nawet jeśli jego wulgarność jest dla części inteligentów sprzeczna z ich rozumieniem etosu. Ale w tym kontekście znów odwołałbym się do względności i różnorodności rozumienia etosu inteligentkiego. Cały szereg inteligentnych autorytetów nie tylko uznał adekwatność danych form protestu, ale w ich radykalizmie, w tym językowym, dostrzegł ważną wartość inteligentką, jaką jest odwaga i bezkompromisowość.

Zwykle to artyści, tworzone przez nich wybitne dzieła kultury pomagały wpleść dawne inteligentkie mity do opowieści kolejnych pokoleń, do głównych nurtów inteligentkich narracji, nadając im często nowe znaczenia.

Dziś problemem jest fragmentacja kulturowa, faktyczny brak kanonu – kiedyś wystarczyło kilka dobrych filmów i właściwie każdy musiał się z nimi zetknąć. Obecnie żyjemy w kulturowych bańkach, które utrudniają stworzenie takiej wspólnej niemal wszystkim wizji.

Mimo to uważam, że młode pokolenie odkryje dla siebie niegdysiejsze inteligentkie tradycje, bliższe antyklerykalizmowi czy zsekularyzowanym koncepcjom politycznym i społecznym. Takie „powroty do zapomnianych źródeł” są częścią inteligentkiej tradycji, sięgającej połowy XIX wieku.

Kilka tygodni temu na łamach „Nowej Konfederacji” Stefan Sękowski opublikował artykuł „Kto naprawdę rządzi Polską? Od władzy monopartii do monowładzy partii”. Tytuł jest chwytliwy i nieźle oddaje obawy części opinii publicznej. Czy pana zdaniem rzeczywistość grozi nam omnipotencja elit politycznych? Czy taka lub inna część klasy politycznej zdolna jest choćby stworzyć jakąś kanoniczną opowieść o Polsce?

Wszystko wskazuje na to, że nie. Polska jest krajem zbyt różnorodnym, różnego rodzaju wpływy są rozproszone między wieloma zbyt różnymi środowiskami. Państwo polskie nie jest też instytucjonalnie na tyle silne, by nawet będąc u jego sterów sprawnie przeprowadzać jakieś radykalne reformy polskiej tożsamości. Jeśli już, to realną stawką są pewne per saldo nieznaczne przesunięcia środka ciężkości w określonych narracjach, w szczególności instytucjonalnych. Nie są to jednak zmiany nieodwracalne. Ma to swoje dobre i złe skutki.

Dobrze to widać właśnie w sferze kultury i nauki, którą inteligencja rządzi właściwie autonomicznie. Oczywiście, naukowcy krytyczni wobec władzy w sposób naturalny wyrażają wyostroszony pesymistyczny osąd, ale bliższa znajomość realiów pokazuje, że na dłuższą metę potrafią oni jako szersze środowiska zabezpieczyć swoją suwerenność. Można też zauważyć, że znaczna część ich krytycznych reakcji wynika nie tyle z groźby jakichś radykalnych zmian, ale z przekonania, że sama próba, nawet drobnej, ale dość arbitralnej i upolitycznionej interwencji w pole naukowe, jest wymagającym głośnej nagany przekroczeniem symbolicznej granicy której władza nie powinna nawet dotykać.

Z drugiej strony, obok głośnych protestów, od zawsze podejście do władzy jest wręcz lekceważące ze strony inteligentnej elity: „Co on się rządzi, jak za rok czy dwa nie będzie żadnym ministrem”? Lepiej przeczekać – niż cokolwiek przedwcześnie zmieniać według wytycznych idących z góry. Nikt tego jednak głośno nie mówi. Bardziej widoczna jest więc zwykle frakcja lubiąca publicznie dramatyzować, bo to dodatkowo pomaga jej budować wokół siebie aurę inteligentnego „męczeństwa”.

Obok głośnych protestów, od zawsze podejście do władzy jest wręcz lekceważące ze strony inteligentnej elity: „Co on się rządzi, jak za rok czy dwa nie będzie żadnym ministrem”? Lepiej go przeczekać – niż cokolwiek przedwcześnie zmieniać według wytycznych idących z góry

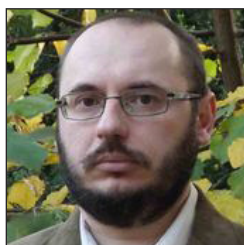
Część środowisk prawicy nieustannie ubolewa, że ten czy inny minister nie potrafi sobie poradzić z artystami, rektorami i „uczelnianymi genderami”.

A każda próba ingerencji kończy się medialną awanturą i głośnym lub cichszym pomstowaniem inteligentnej elity na władzę. I oczekiwaniem jej końca. Władza

polityczna chce mieć wpływ na podległe sobie instytucje, ale idzie jej to opornie. Dziś oczywiście nie wypada rządzącym narzekać na imposybilizm, ale instytucje w Polsce naprawdę rzadko są narzędziem jakiejś zaprojektowanej zmiany. Zbyt wielu jest aktorów społecznych i politycznych, zbyt wiele środowisk, zwykle inteligentkich, które odpowiadają za mechanikę państwa, by dało się tym wszystkim łatwo sterować.

Co więcej, można zauważyć, że autonomia elit kulturowych jest zjawiskiem wpisanym w samą zasadę funkcjonowania

poła współczesnej kultury, w szczególności instytucji akademickich. Z „wolnomyślicielstwem” a nawet postawami otwarcie krytycznymi wobec władz na uczelniach konfrontować musiały się wszystkie nowoczesne, nawet autorytarne, państwa a wcześniej imperia. W krajach zachodnich uczelnie pozostają również i dziś w dużym stopniu ośrodkami krytyki dominujących relacji władzy, jednak ich polityczne znaczenie jest mniejsze niż polskich elit akademickich, które stanowią część dającej im dodatkową symboliczną siłę polskiej inteligencji.



KRZYSZTOF WOŁODŹKO

Felietonista i dziennikarz Instytutu Spraw Obywatelskich, publicysta Polskiego Radia 24, tvp.info, „Gazety Polskiej” i „Gazety Polskiej Codziennie”. Píše m.in. do miesięcznika ZNAK i Tygodnik.TVP.pl

7 powodów, dla których gorąca wojna USA-ChRL jest mało prawdopodobna



BARTŁOMIEJ RADZIEJEWSKI

Dyrektor „Nowej Konfederacji”

Konflikt zbrojny byłby z punktu widzenia Chin szaleństwem, z perspektywy USA – niebezpiecznym ryzykanctwem

Coraz większe napięcia amerykańsko-chińskie wokół Tajwanu i nie tylko prowokują powrót poglądu o możliwości gorącej wojny między supermocarstwami. Głównym jego rzecznikiem w Polsce jest wybitny znawca geopolityki, prezes Strategy & Future, a także współpracownik i kiedyś współzałożyciel „Nowej Konfederacji” Jacek Bartosiak. Pogląd ten, odnoszący się do jednej z najważniejszych spraw na świecie i niebezzasadny, zwłaszcza teraz, zasługuje zarazem na polemiczne potraktowanie. Mówiąc krótko, prawdopodobieństwo gorącej wojny amerykańsko-chińskiej jest wyższe niż w czasach zimnej wojny USA-ZSRS i może najwyższe właśnie w najbliższym czasie, a mimo to jest bardzo niskie, na granicy niemożliwości. Przemawia za tym siedem bardzo silnych argumentów.

Zbyt duże ryzyko

Po pierwsze – broń nuklearna. Jest raczej poza dyskusją specjalistów, że w razie amerykańskiego uderzenia nuklearnego, Chiny stać na atak odwetowy na teryto-

rium USA. To generuje stawkę strat na tyle wysoką, by o nią nie grać. Nawet jeśli nie występuje tu znany z okresu zimnej wojny amerykańsko-sowieckiej mechanizm wzajemnego gwarantowanego zniszczenia (*mutually assured destruction*), możliwość szybkiej śmierci dziesiątków milionów ludzi i obrócenia całych miast w nuklearne pustynie jest prężnym motywatorem, aby trzymać nerwy na wodzy, a palce – w bezpiecznej odległości od niektórych przycisków.

Po drugie – współzależności gospodarcze. Doprowadzenie sytuacji do skrajności grozi głęboką zapaścią nie tylko walczących stron, ale i całego świata. Suma produkcji amerykańskiej i chińskiej (PKB w cenach bieżących) to blisko 43 proc. wytwórczości naszej planety. RAND Corporation w raporcie wydanym wspólnie z amerykańskim rządem oszacowała straty gospodarcze w wyniku jednego roku długiej i intensywnej wojny na 20-35 proc. PKB po stronie Chin i 5-10 proc. po stronie USA. To koszmar, którego lepiej uniknąć, zwłaszcza leżąc po zachodniej stronie Pacyfiku.

Tym bardziej, że – po trzecie – ważnym czynnikiem jest nastawienie amerykańskiego i międzynarodowego biznesu. Słuchając Petera Navarro otwarcie mówiącego o Xi Jinpingu nasyłającym „globalistycznych miliarderów”, by zmiękczyli prezydenta Trumpa, i przekonującego przedsiębiorców, by bardziej myśleli o długonież krótkofalowych stratach, można było poczuć, jak silny opór stawia eskalacji tego konfliktu prywatny kapitał. Czy to nie on zdecydował o dziwnej „pauzie strategicznej” zarządzanej w Buenos Aires, dającej Chinom więcej bezcennego czasu w zamian za mało istotne, jak się zdaje, ustępstwa? Rok później nadeszła pandemia SARS-CoV-2, przyspieszając niekorzystne dla USA zmiany międzynarodowego układu sił. Z kolei pokonanie Trumpa przez globalistycznego liberała Joe Bidena w amerykańskiej rywalizacji politycznej oznacza wzrost znaczenia krajowego i międzynarodowego biznesu opowiadającego się za „business as usual” w działaniach Waszyngtonu. Czy nowy lokator Białego Domu, silnie obciążony agendą powrotu do tego, co było, będzie w stanie okiełznać tę presję, przecież bardzo silną i za lokalisty Trumpa? Można wątpić.

Atak jest trudny

Po czwarte – znaczenie mają też interesy polityczne. Państwo Środka nie potrzebuje wojny, aby zdetronizować Amerykę, wystarczy jej do tego czas. Może w nią wejść, gdy zostanie zaatakowane lub sprowokowane (także przez stronę trzecią). Może w nią wejść, występując przeciwko zbyt głębokiemu naruszeniu swojego stanu posiadania. Nie ma jednak żadnego interesu w parciu do wojny i eskalacji. Byłoby to zresztą sprzeczne z bardzo starą chińską kulturą strategiczną: już Sun Zi nauczał,

że najwyższą formą zwycięstwa jest zwycięstwo bez walki, a najwyższym rodzajem tego rodzaju triumfu – wygrana, której nie widać.

Dla Stanów z kolei eskalacja konfliktu jest z jednej strony konieczna, z drugiej – wysoce ryzykowna. Każda porażka będzie traktowana jako sygnał, że król dominujący do niedawna w niekwestionowany sposób jest nagi, powodując rekalkulacje interesów wśród państw sojuszniczych i tych wahających się. Każda porażka imperium występującego z pozycji wielkiej przewagi będzie powodować dalszą erozję i tak szybko erodującej potęgi USA. To silne przeciwwskazanie do ryzykownych ofensyw.

Amerykanie nie dysponują wojskami lądowymi zdolnymi choćby czasowo opanować terytorium Chin

Po piąte – rachunek sił konwencjonalnych. Amerykanie nie dysponują wojskami lądowymi zdolnymi choćby czasowo opanować terytorium Chin. Ewentualna wojna byłaby więc najpewniej starciem morsko-powietrznym, toczącym się też w kosmosie, cyberprzestrzeni i oczywiście pod wodą. Chińczycy niepostrzeżenie uzyskali nad rywalami przewagę liczebną, gdy idzie o arsenał okrętów, i błyskawicznie kontynuują tak wodowanie kolejnych jednostek, jak i ich modernizację. Mają też największe na świecie floty rybacką i handlową, które w razie wojny mogą zostać częściowo zmilitaryzowane. Za Atlantykiem mnożą się alarmistyczne głosy o niegotowości US Navy nie tylko do wojny,

ale i pokojowych demonstracji siły, przecież koniecznych do utrzymania wpływów i lojalności bardzo oddalonych od amerykańskiego wybrzeża sojuszników. Mowa o sygnałach, które pojawiły się już po ogłoszeniu przez prezydenta Donalda Trumpa ambitnego i trudnego politycznie oraz finansowo programu rozbudowy i modernizacji floty. Wśród specjalistów z USA panuje raczej zgoda co do przewagi ogniowej i zdolności ostatecznego wygrania wojny na dzień dzisiejszy. Łączy się z nią jednak równa niepewność co do jutra, jak i co do zdolności osiągnięcia szybkiego i miażdżącego zwycięstwa.

Geografia przeszkadza

Tymczasem taki właśnie nokaut w pierwszych rundach jest, jak sędzę, niezbędny, by ograniczona wojna konwencjonalna miała z punktu widzenia Ameryki sens. Każdy inny scenariusz doprowadzi do konsolidacji chińskiego narodu wokół znienawidzonego po drugiej stronie Pacyfiku Xi Jinpinga (czy jego następcy), uruchamiając nieprzebrane rezerwy mobilizacyjne dla „wojny ojczyźnianej”. Dając czas na odbudowę gospodarczą i skierowanie energii w głąb Eurazji. Gotując Ameryce strategiczny koszmar długiej, wyniszczającej wojny z najliczniejszym narodem świata. Z arcyniepokojącym pytaniem z tyłu głowy: „co dalej, nawet jeśli wygramy?”.

Po szóste – przeciwko eskalacji przemawiają najważniejsi aktorzy całej reszty świata. Kraje Azji Południowo-Wschodniej sprawiają wrażenie przerażonych perspektywą opowiadania się w tym sporze. Jeśli wybierają, to raczej z poczucia konieczności niż korzyści – świetnie im przecież idzie w dotychczasowym, dwubiegunowym układzie. Co najmniej nie-

chętna jest „unijna” Europa, korzystająca na relacjach z obydwoma wielkimi partnerami. Podobnie kraje Ameryki Łacińskiej. Wszyscy ci gracze działają i będą działać tonująco na ten konflikt, mając przed oczami wielkie ryzyko jego eskalacji.

Geografia sprawia, że USA mogą pozostać wielkim mocarstwem nawet przegrywając tę rywalizację

Wreszcie – geopolityka potencjalnego konfliktu. Kombinacja gigantycznej przeszkody wodnej, jaką jest Pacyfik i chińskiej potęgi czynią inwazję lądową praktycznie niemożliwą, odsyłając do scenariuszy ograniczonej wojny konwencjonalnej o charakterze powietrzno-morskim (która mogłaby w sposób niekontrolowany wyescalować nawet w starcie nuklearne). Ale to nie wszystko. Pamiętając, jak trudnym środowiskiem był dla USA teatr wojenny Zachodniego Pacyfiku w konfrontacji z imperialną Japonią podczas II wojny światowej (co walnie przyczyniło się do decyzji o przecięciu węzła gordyjskiego atakiem atomowym), trzeba uwzględnić, że Chiny są przeciwnikiem znacznie trudniejszym. Dysponującym potężniejszym przemysłem morskim od USA, mającym dużo niższe koszty projekcji siły w pobliżu swoich granic niż muszące utrzymywać bardzo długie linie komunikacyjne Stany Zjednoczone, dysponującym wielką przewagą głębi strategicznej i skutecznym systemem antydostępowym (A2AD). Specjaliści od geostrategii dobrze wiedzą, jak nieskuteczne były historycznie nie tylko desanty przez przeszkody wodne, ale też

blokady morskie. Nawet w niepewnym scenariuszu amerykańskiego zwycięstwa w ograniczonej wojnie konwencjonalnej powraca więc pytanie „co dalej”? Jak trwale odciąć od świata przeciwnika dysponującego powyższymi atutami i potencjałem gospodarczym znacznie większym w porównaniu do amerykańskiego niż III Rzesza i imperialna Japonia razem wzięte? Jasna, przekonująca odpowiedź jak dotąd nie wybrzmiewa. A geopolityka potencjalnego konfliktu w połączeniu z siłą rywalizacji wydaje się zapewniać Ameryce nie tylko najtrudniejsze starcie od czasu II wojny światowej, ale w ogóle w całej jej historii.

Z drugiej strony, geografia sprawia, że USA mogą pozostać wielkim mocarstwem nawet przegrywając tę rywalizację. Pacyfik jako ogromna przeszkoda wodna działa w dwie strony, powodując także, że Chiny nie mogą wojskowo osiągnąć Stanów Zjednoczonych. To zaś zasadniczo obniża determinację do ponoszenia wielkich ofiar tu i teraz w imię abstrakcyjnego celu, jakim jest utrzymanie światowego

prymatu. Z kolei niepewność wyniku konfrontacji nadaje przedsięwzięciu wojennemu charakter ryzykanctwa. Groźącego nie tylko niekontrolowaną eskalacją aż do poziomu nuklearnego, ale nawet w wariantcie ograniczonego konfliktu konwencjonalnego – pogrzebaniem licznych korzyści z pozostawienia spraw ich obecnemu biegowi.

Podsumowując: pójdzie na gorąca wojnę byłoby z punktu widzenia Chin szaleństwem, z perspektywy USA – niebezpiecznym ryzykanctwem. Taki konflikt może – jak wiele w przeszłości – stać się faktem w wyniku błędnych kalkulacji i niekontrolowanej eskalacji. Tego ryzyka nie wolno zignorować. Nie należy go jednak traktować jak scenariusza bazowego – wręcz przeciwnie.

Co innego zimna wojna nowej generacji. Tę już od kilku lat obserwujemy. Pytanie o jej kontynuację przez uosobienie statecznego liberalnego globalizmu Bidena jest otwarte. Alternatywą jest pokojowe oddanie przez Stany Zjednoczone korony mocarstwa numer jeden.

Cyfrowy juan – narzędzie kontroli i budowania potęgi



PAWEŁ BEHRENDT

Publicysta, tłumacz,
szef działu aktualności portalu Konflikty.pl

Budowanie przez Chiny cyfrowego juana wpisuje się w rozbudowywanie przez ChRL systemu kontroli nad społeczeństwem, a także w walkę o uczynienie renminbi waluty globalnej

Chiny zostawiły resztę dużych gospodarek daleko w tyle pod względem wdrażania oficjalnej cyfrowej waluty. Pilotażowy program ruszył już blisko rok temu, a dotychczasowe doświadczenia są zachęcające. Pekin zdecydowanie stanął na czele rewolucji w systemie finansowym, ma jednak ku temu bardzo konkretne powody polityczne.

Sukces kryptowalut sprawił, że cyfrowym pieniądzem zainteresowały się także banki centralne. Jest to jedno z intensywniej dyskutowanych zagadnień i ocenia się, że to właśnie cyfrowe waluty zdefiniują rozwój świata finansów w ciągu najbliższej dekady.

Chiński Bank Ludowy, czyli bank centralny ChRL, zaczął uważniej przyglądać się cyfrowym pieniądзом w roku 2014. Szczegóły dotyczące cyfrowego juana zaczęły pojawiać się jednak dopiero od czerwca 2019, gdy Facebook ujawnił swój projekt cyfrowej waluty Libra. Burza wywołana kontrowersyjnym pomysłem Zuckerberga sprawiła, że Chiny nadal nie afiszują się z cyfrowym juanem, którego ofi-

cialna nazwa to DCEP – Digital Currency Electronic Payment (system elektronicznych płatności cyfrową walutą).

Test na wielką skalę

Program pilotażowy rozpoczął się w kwietniu roku 2020 w Shenzhen, Suzhou, Chengdu i Xiong'an Xinqu, specjalnej strefie rozwoju trójkąta gospodarczego Pekin-Tianjin-Hebei. Na początku listopada podczas wystąpienia na FinTech Week w Hongkongu prezes Chińskiego Banku Ludowego, Yi Gang, poinformował, że w ciągu pięciu miesięcy prób przeprowadzono przy użyciu cyfrowego juana ponad cztery miliony transakcji o wartości przeszło dwóch miliardów juanów (prawie 300 milionów dolarów). DCEP został użyty na ponad 12 tysięcy sposobów, w tym do płacenia rachunków, kupowania biletów komunikacji i do uiszczania opłat urzędowych.

Próby nabrały intensywności w październiku, a władze chwytają się różnych pomysłów, by zachęcić ludzi do płacenia

cyfrową walutą. Władze Shenzhen rozdały 47,5 tys. mieszkańcom po 200 cyfrowych juanów (ok. 30 dolarów). Cyfrowymi pieniędzmi można było płacić w ponad trzech tysiącach sklepów na terenie miasta. Tą samą drogą co Shenzhen poszedł Pekin. Władze stolicy kraju w okresie chińskiego nowego roku (10-17 lutego) rozdały pośród 50 tysięcy osób „czerwone koperty” o wartości 200 cyfrowych juanów.

W ciągu pięciu miesięcy prób przeprowadzono przy użyciu cyfrowego juana ponad cztery miliony transakcji o wartości przeszło dwóch miliardów juanów (prawie 300 milionów dolarów)

Jeszcze dalej poszły władze Suzhou, które w grudniu zorganizowały wśród mieszkańców loterię. W jej trakcie rozlosowano sto tysięcy „czerwonych kopert” (tradycyjna forma wręczania noworocznych podarunków pieniężnych w ChRL) o łącznej wartości 20 milionów juanów (trzy miliony dolarów). Nagrody były ważne od 11 do 27 grudnia i miały również wspomóc zwiększenie lokalnej konsumpcji. Do działań magistratu Suzhou przyłączyło się JD.com, jedna z największych chińskich platform e-handlowych, która jako pierwsza tego typu firma w Chinach zaczęła przyjmować płatności w cyfrowych juanach. 11 grudnia, w ciągu 24 godzin od 20:00 wirtualną walutą opłacono na tej platformie przeszło 20 tysięcy transakcji.

Program pilotażowy ma zostać rozciągnięty na kolejnych 28 miast w tym: Tianjin, Szanghaj, Guangzhou, Chongqing, Hongkong i Makao. Chińskie władze finansowe studzą jednak zapal osób oczekujących, że cyfrowy juan zostanie wprowadzony do powszechnego obiegu na Zimowe Igrzyska Olimpijskie w Pekinie w przyszłym roku. Yi przyznaje wprawdzie, że DCEP będzie testowane podczas igrzysk, nie podał jednak nawet przybliżonej daty wprowadzenia cyfrowej waluty do powszechnego obiegu.

Konkurencja dla fintechów

Skąd tak duże zainteresowanie Pekinu? Ciągłe słabo rozwinięty chiński system bankowy stworzył obszerną niszę dla płatności elektronicznych. Należący do grupy Alibaba platforma finansowa Alipay wraz z WeChat Pay Tencentu wykorzystywały technologie cyfrowe do przekształcenia zacofanej architektury bankowej i finansowej system skoncentrowany na Internecie, przyjazny dla użytkownika, należący do najnowocześniejszych na świecie. Wykorzystanie aplikacji na smartfony przyczyniło się do dalszego rozpowszechnienia płatności bezgotówkowych i uplasowało Chiny w światowej czołówce w tej dziedzinie. Obie firmy odpowiadają za przeszło 90% płatności elektronicznych w kraju.

Sukces Alipay i WeChat Pay ściągną jednak na obie firmy baczność władz, o czym świadczy m.in. niedawne „zniknięcie” byłego już szefa Alibaby, Jacka Ma. Pekin nie jest w stanie tolerować sytuacji, w której niemal całość internetowych finansów pozostaje w rękach niepaństwowych podmiotów. Chińscy finansiści dość otwarcie przyznają, że cyfrowy juan ma rzucić fintechy na kolana.

DCEP ma być całkowicie niezależne od istniejących platform internetowych. Użytkownicy muszą po prostu założyć konta w cyfrowych juanach, lub cyfrowy portfel w banku, w którym trzymają oszczędności. Zainstalowany na smartfonie cyfrowy portfel umożliwia płatności zbliżeniowe w zwykłych terminalach, a nawet poprzez zbliżenie do innego smartfonu. W takiej sytuacji nie jest konieczne podłączenie do Internetu, powstaje natomiast płynnie działający system omijający Alipay i WeChat Pay. Tym samym bank centralny zyskuje większą kontrolę nad poczynaniami ludności, a system finansowy staje się bardziej przejrzysty i łatwiejszy do regulacji.

Nadzór nad społeczeństwem

Pacyfikacja fintechów nie jest jedynym celem władz. Cyfrowy juan może umożliwić znaczne ograniczenie olbrzymiej szarej strefy, gdzie płatności rozliczane są w gotówce, a w konsekwencji pomóc w zwalczaniu korupcji, nielegalnych przepływów pieniędzy oraz unikania płacenia podatków. Niesie to jednak konsekwencje w postaci rozszerzenia pola działania przez wykorzystanie restrykcji finansowych. Już teraz system kredytu społecznego pozwala władzom na ograniczenie dostępu do usług publicznych, takich jak transport, osobom będącym w ten czy inny sposób na bakier z prawem i regułami społecznymi, a zapowiedzi władz o „kontrolowalnej anonimowości” użytkowników cyfrowej waluty nie napawają optymizmem.

Z drugiej strony dostęp do bogatych zasobów danych gospodarczych pozyskiwanych w czasie rzeczywistym może umożliwić bankowi centralnemu wdrożenie wysoce responsywnej polityki monetarnej.

Nie bez znaczenia jest też próba ograniczenia atrakcyjności kryptowalut, które cieszą się w Azji Wschodniej rosnącą popularnością, a w Chinach są oficjalnie zabronione.

Pekin podchodzi do sprawy kompleksowo i położył duży nacisk na stworzenie ram prawnych umożliwiających wdrożenie elektronicznej waluty. W myśl znowelizowanej ustawy o banku centralnym ogłoszonej 23 października ubiegłego roku, cyfrowy juan otrzymał taki sam status prawny jak fizyczny, a tym samym może być legalnym środkiem płatniczym na terenie ChRL. Chiny mierzą jednak znacznie wyżej i spośród dużych gospodarek najmocniej zaangażowały się w wypracowywanie norm i reguł dotyczących walut cyfrowych.

Wyzwanie rzucone międzynarodowym graczom

Chiński Bank Ludowy jako pierwszy zgłosił propozycje dotyczące cyfrowych walut w ramach standardu ISO 20022. Bank centralny Chin chce również współpracować z Bankiem Rozrachunków Międzynarodowych (BIS) i Radą Stabilności Finansowej (FSB) w sprawie opracowania regulacji dotyczących cyfrowych walut emitowanych przez banki centralne oraz zapewnienia transparentności. Yi Gang zauważył, że kroki w postaci koordynacji działań banków centralnych są konieczne w celu zapewnienia stabilności rynków finansowych.

Prawdą jest również fakt, że Chiny zrećtnie wypełniają próżnię powstałą w wyniku opieszałości państw szeroko rozumianego Zachodu. Wielkim propagatorem DCEP okazuje się sam Xi Jinping, który podczas listopadowego szczytu G20 wezwał do wypracowania standardów

i zasad dla cyfrowych walut emitowanych przez banki centralne (*central bank digital currencies, CBDCs*). W typowy dla siebie sposób przewodniczący ChRL kładł nacisk na otwartość i elastyczność takiego systemu w celu „właściwego reagowania na wszelkie wyzwania i niebezpieczeństwa przy jednoczesnym wspólnym dążeniu do rozwoju międzynarodowego systemu walutowego”.

W wewnątrzchińskim dyskursie akcenty są już inaczej rozłożone. W październikowym artykule na łamach „Qius-hi”, głównego wewnętrznego periodyku KPCh, Xi otwarcie uznał aktywny udział Chin w formułowaniu międzynarodowych reguł dotyczących cyfrowych walut i podatków za istotny element budowania konkurencyjnej przewagi chińskiej gospodarki. Z kolei chińscy finansiści mówią o cyfryzacji jako szansie na umiędzynarodowienie juana, aczkolwiek nie widzą szans na stworzenie w ten sposób konkurencji dla dolara w najbliższej przyszłości. Zhou Xiaochuan, były prezes Chińskiego Banku Ludowego zaznacza, że z powodu ostrej reakcji jaką wywołała Libra (obecnie nazywana Diem), Pekin zamierza zachować dużą ostrożność w propagowaniu cyfrowego juana. Podkreślił również, że DCEP ma być uzupełnieniem klasycznych walut, a nie je zastąpić, co było ambicją projektu Facebooka.

Tutaj pojawia się kwestia wiarygodności Chin. James Kyng, dyrektor ośrodka badawczego China Confidential and Renminbi Compass, ostrzega, że cyfrowy juan może z czasem mieć swój „moment Huawei”. Podobnie jak w przypadku telekomunikacyjnego giganta, także cyfrowa waluta może utracić zaufanie zagranicznych użytkowników. Tak samo jak w przypadku Huawei, wszystko sprowadza się do bezpieczeństwa danych i prywatności

użytkowników. Innymi słowy pytanie brzmi: co Chiński Bank Ludowy będzie robić z danymi klientów i transakcji? Co więcej, najnowsze modele smartfonów Huawei mają od razu zainstalowany cyfrowy portfel do obsługi e-juanów. W przypadku telefonów przeznaczonych na eksport nie można tego odebrać inaczej jak przygotowania do propagowania chińskiej cyfrowej waluty – jak świat długi i szeroki. Trudno również oczekiwać, by w obecnej sytuacji Stany Zjednoczone stały z założonymi rękami i spokojnie się przyglądały próbie zdobywania przez juana statusu globalnej waluty.

Dostęp do bogatych zasobów danych gospodarczych pozyskiwanych w czasie rzeczywistym może umożliwić bankowi centralnemu wdrożenie wysoce responsywnej polityki monetarnej

Wątpliwości pojawiają się też w samych Chinach. Mimo dużej otwartości na nowinki techniczne pomysł „płacenia twarzą” nie przyjął się. W skrócie chodziło o całkowite zastąpienie kart płatniczych i aplikacji. Do zapłacenia w sklepie, lub restauracji wystarczy wówczas sfotografować, czy też zeskanować swoją twarz i porównać ją ze zdjęciem właściciela przypisanym do konta. W przypadku cyfrowego juana dyskusja koncentruje się wokół cyfrowego wykluczenia osób nieposiadających smartfonu, konta bankowego, lub miesz-

kających w regionach bez sprawnego dostępu do Internetu. Pod koniec ubiegłego roku emocje rozpałiło nagranie wideo, na którym starsza kobieta nie mogła zrobić zakupów w sklepie, gdyż ten odszedł od używania żywej gotówki. Zważywszy coraz szybsze starzenie się chińskiego społeczeństwa, problem cyfrowego wykluczenia będzie jedynie narastać. Prócz tego Alipay i WeChat Pay zachowują przewagę konkurencyjną nad cyfrową walutą. Obie aplikacje oprócz płatności oferują dostęp do szerokiej gamy innych usług od zakupów po zamówienie taksówki.

Chiny nie są pierwsze

W dziedzinie cyfryzacji finansów Chiny faktycznie wyprzedziły kraje wysoko rozwinięte, nie są jednak na pierwszym miejscu. Pierwszą oficjalną cyfrową walutę, Sand Dollar, wprowadził do obiegu w październiku 2020 roku bank centralny Bahamów. Palmę pierwszeństwa w Azji zdobyła Kambodża, która krótko po Bahamach wprowadziła do obiegu Bakong. Z cyfrowymi pieniędzmi eksperymentują też inne państwa Azji Płd.-Wsch., jak Singapur i Tajlandia. Ta ostatnia w ubiegłym roku przeprowadziła program pilotażowy. Prototypowa cyfrowa waluta była wykorzystywana w płatnościach biznesowych.

Nie zdobyła szerokiej popularności, po części za sprawą słabej promocji, lecz wyniki uznano mimo to za obiecujące. Wspólną cyfrową walutę wprowadzają Arabia Saudyjska i Zjednoczone Emiraty Arabskie. Na razie nie będzie ona dostępna dla zwykłych użytkowników i ma służyć do transakcji w handlu między obydwojma państwami.

Pandemia COVID-19 przyspieszyła prace nad emitowanymi przez banki centralne cyfrowymi walutami jak świat długi i szeroki. Rozpoczęcie w tym roku testów w tym zakresie zapowiedział już Bank Japonii. Europejski Bank Centralny rozważa możliwość emisji cyfrowego euro. Decyzja w tej sprawie ma zostać podjęta w połowie bieżącego roku. Ostrożność państw wysokorozwiniętych względem wdrożenia cyfrowych walut najlepiej wyraził przewodniczący amerykańskiej FED Jerome Powell, który stwierdził, że dla USA ważniejsze jest, by „zrobić to dobrze, a nie być pierwszymi”. Mimo wszelkich zastrzeżeń, FED dołączył do utworzonej w styczniu 2020 roku przez BIS grupy banków centralnych badających możliwość wprowadzenia cyfrowych walut. Niewątpliwie największym bodźcem do dalszego przyspieszenia prac będą działania Chin. Najbliższe lata w świecie finansów będą gorące.

Pomiędzy katastrofami. Bóg, natura i człowieczeństwo



JOHN MILBANK

Anglikański teolog, emerytowany profesor na Wydziale Teologii i Studiów Religijnych Uniwersytetu w Nottingham. Twórca ruchu radykalnej ortodoksji. W swojej pracy naukowej łączy teologię z socjologią, etyką, estetyką, filozofią i politologią.

Pandemia ujawnia dylematy, które w spotęgowanej postaci przyniesie kryzys ekologiczny: jak zapewnić równowagę między działaniami zbiorowymi a wolnością jednostek? Które życie należy chronić, a którym ryzykować? Jak balansować między przetrwaniem a tym, czemu przetrwanie ma służyć?

Pandemia koronawirusa jest „wydarzeniem” w ścisłym znaczeniu tego słowa – czyli rzeczywistością wykraczającą poza nasze próby wyjaśnienia jej pochodzenia, przyczyn, zakresu i skutków. Niemniej nie jest jeszcze pewne, jak bardzo przełomowym wydarzeniem się okaże. Dla jednych komentatorów stanowi po prostu chwilową pauzę w normalności, wymagającą szczególnej reakcji, jednak jedynie tymczasowej. Dla innych jest oznaką znacznie większego i istniejącego już wcześniej kryzysu ekologicznego. Obie grupy z zadowoleniem przyjmują obecny powrót do zwiększenia aktywności państwa. Dla jeszcze innych, ta nadzwyczajna reakcja na kryzys nie jest ani tymczasowa, ani nieszkodliwa; postrzegają ją jako nasilenie niebezpiecznych procesów polityczno-gospodarczych, charakteryzujących się wykorzystaniem narzędzi inwigilacji i izolacji.

Te różnice uwidoczniają się w ocenie obecnej sytuacji z punktu widzenia duchowego i religijnego. Dla wielu osób pandemia stanowi ostrzeżenie dotyczące

nieuporządkowanego stosunku człowieka do innych form życia. Przeciwnicy tej tezy twierdzą, że reakcja na pandemię jest dowodem na przecenianie życia jako takiego; że ograniczanie ryzyka w ramach pandemicznych obostrzeń może zagrozić życiu naprawdę spełnionemu i wartościowemu (które może wynikać z przygotowywania się do wspanialszego życia po śmierci).

Zastanówmy się pokrótce nad trzema kontrowersyjnymi wymiarami naszej obecnej globalnej sytuacji: jak bardzo znaczący jest bieżący kryzys? Czy oznacza on koniec neoliberalizmu, czy też nasilenie tyranii w imię stanu wyjątkowego? I czy obecnie przedkładamy życie ponad pieniądze, czy też wolimy unikać niebezpieczeństwa śmierci zamiast podjąć ryzyko i dążyć do prawdziwie ludzkiej egzystencji?

Pomiędzy katastrofami

Po pierwsze: czy prawdą jest, że „nic już nigdy nie będzie takie samo”, czy też mamy do czynienia zaledwie z przeciągającą się pauzą w normalności, jak twier-

dzi Alain Badiou? W pewnym sensie jesteśmy świadkami zjawiska „staroświeckiego”, znanego z przeszłości: ludzkość przeżyła już wiele epidemii, a ta ma stosunkowo łagodny przebieg. Pandemie spadają jak grom z jasnego nieba, stanowią – metaforycznie rzecz biorąc – „atak” banalnych czynników przyrodniczych, pozbawionych znaczenia. COVID-19, a właściwie SARS-CoV-2, to najnowsza z serii stosunkowo łagodnych, współczesnych plag. Ich skutki są rzeczywiście poważne, a jednak przemijające. Pandemia może nasilić zachodzące już procesy rozwoju cyfryzacji i pracy zdalnej, może utrudnić życie tych osób, którzy nie mogą pracować w ten sposób – i to wszystko. Nikt nie spodziewał się obecnej sytuacji, a środki zastosowane w walce z pandemią są czysto pragmatyczne, podobne do działań podejmowanych w czasie wojny. Polityczne przestawienie się na taktykę keynesowską nie oznacza zatem żadnej trwałej zmiany, a taktyka ta została zastosowana w celu obrony lokalnego kapitalizmu w obliczu częściowego ograniczenia relacji globalnych. Sektor finansowy jest nadal traktowany priorytetowo, a pracownicy otrzymują jedynie taką pomoc, która pozwoli, by rynek nie runął przez całkowite załamanie popytu.

Bruno Latour do pewnego stopnia potwierdza ten pogląd, argumentując, że kryzys SARS-CoV-2 nie jest próbą generalną przed nadchodzącą ekologiczną apokalipsą. Jest zbyt „staroświecki”, by być taką próbą. Świadczy o tym fakt, że na nowo ożywił państwa narodowe i narzędzia kontroli biopolitycznej, które – według Michela Foucaulta – są stosowane od 1800 roku. Rządy celowo przedłużają życie wyselekcjonowanych osób i monetywizują wartość życia innych, postrzeganych jako niezbędne ofiary na ołtarzu utrzy-

mania działającej gospodarki i życia ludzkiego jako takiego. Co więcej, na nowo przywoływany jest charakterystyczny dla współczesności dualizm natury i kultury: rzekomo łączymy się w ludzkiej solidarności przeciwko zewnętrznym siłom natury, z którymi toczymy wojnę.

Globalizacja zwiększa prawdopodobieństwo synergii archaicznych praktyk, takich jak mokre targi, z ultranowoczesną komunikacją. Stare zagrożenia są w znacznym stopniu potęgowane przez nowe

Jednak właściwy kryzys ekologiczny, z którym mamy do czynienia, wcale na tym nie polega: jest to, po pierwsze, o wiele bardziej ogólne zagrożenie, z którym państwa nie są w stanie poradzić sobie samodzielnie. Po drugie, w przypadku kryzysu ekologicznego to ludzi można porównać do „wirusa” zagrażającego przyrodzie, chociaż sami należą do jej świata. Właśnie z tego powodu sprostanie wspomnianemu ogólnemu zagrożeniu (zmianom klimatycznym, wymieraniu gatunków itp.) wymaga zakwestionowania podziału na naturę i kulturę.

Patrząc w ten sposób, można dojść do wniosku, że kryzys pandemiczny być może nie zmieni tak wiele, jak nam się wydaje, i że nie jest w oczywisty sposób powiązany z szerszym pojmowanym kryzysem klimatycznym.

Tę argumentację należy potraktować poważnie, ale wymaga ona uściślenia. Badiou zdaje się zaprzeczać sam sobie pisząc, że nikt się nie spodziewał obecnej sytuacji, i jednocześnie stwierdzając, że mamy do czynienia z po prostu jednym z wielu wirusów SARS. Właśnie z tego drugiego powodu – choć nikt nie mógł przewidzieć szczegółowo COVID-19 – eksperci ostrzegają od wielu lat o prawdopodobieństwie wystąpienia podobnych pandemii, a rządy przygotowują się do nich. I choć można porównać obecny kryzys do pandemii grypy hiszpanki, to jednak rozwinęta globalizacja i rządomyślność doprowadziły do bezprecedensowego, zorganizowanego zawieszenia normalnej egzystencji.

Co więcej, ten i inne nowe wirusy nie mogą być postrzegane jedynie jako dzieło siły wyższej. Wręcz przeciwnie, zazwyczaj przenoszą się z dzikich zwierząt na ludzi, co stało się bardziej prawdopodobne ze względu na działalność ludzką. Nie tylko związaną z (być może nieuniknionym) coraz głębszym wnikaniu człowieka w świat przyrody, ale też z „zaganianiem” przyrody do coraz ciasniejszych przestrzeni, zmniejszaniem różnorodności gatunkowej i ograniczaniem rozwoju odporności zwierząt. Ponadto, jak zauważa Badiou, globalizacja zwiększa prawdopodobieństwo synergii archaicznych praktyk, takich jak mokre targi, z ultranowoczesną komunikacją. Stare zagrożenia są w znacznym stopniu potęgowane przez nowe. Dlatego też, jak podkreśla sam Latour, nie możemy opisywać pandemii w kategoriach dualizmu natury i kultury, jeśli nie chcemy zaciemnić obrazu rzeczywistości. Nie zagraża nam tak tylko czynnik biologiczny; staje się on nieprzewidywalny, ponieważ jego sprawczość jest potęgowana przez wiele poziomów sprawczości ludzkiej, zarówno jednostkowej i przypadkowej

(handlarze na targu w Wuhan?), jak i grupowej lub sieciowej (zróżnicowane powiązania ekonomiczne, systemy polityczne oraz różnorodność genetyczna, która miała ogromny wpływ na oddziaływanie wirusa na świecie). Nasze zróżnicowane reakcje będą miały nieprzewidywalny wpływ na to, jak długo wirus się utrzyma i ile nowych mutacji się pojawi.

Z tego powodu – a także dlatego, że w przyszłości mogą wystąpić inne pandemie – nie możemy być pewni, nawet na czysto „przyrodniczym” poziomie, czy obecny kryzys się utrzyma, czy też nie. Z przyczyn przedstawionych powyżej, w istocie ma on cechy zarówno tradycyjnej epidemii, jak i inne cechy, wynikające ze współczesnych zaburzeń w relacjach człowieka z przyrodą. Co więcej, nawet jeśli kryzys pandemiczny różni się od większego, ekologicznego, to już teraz ujawnia niektóre dylematy, które w spotęgowanej postaci przyniesie też kryzys ekologiczny: jak zapewnić równowagę między koniecznością działań zbiorowych a wolnością jednostek? Jak oddelegować odpowiedzialność części działań i odpowiedzialności na poziom lokalny (co jest niezbędne z przyczyn pragmatycznych) i jednocześnie zwiększyć koordynację i solidarność w skali globalnej? Które życie należy chronić, a którym możemy ryzykować? Jak balansować między zachowaniem godności człowieka a równowagą w przyrodzie; między przetrwaniem a tym, czemu przetrwanie ma służyć?

Pomiędzy politykami

Drugie kluczowe pytanie brzmi: jak powinniśmy ocenić polityczne reakcje na „wielką pauzę” w naszym życiu? Łatwo zgodzić się ze Slavojem Žižkiem, który sugeruje, że powinniśmy z zadowoleniem

przyjął fakt zwiększenia międzyludzkiej solidarności, nawet jeśli jest ono wymuszone przez ofiarę w postaci izolacji (a może w takich okolicznościach powinniśmy się z niego cieszyć jeszcze bardziej). To dobrze, że istnieje granica tolerancji wobec podejścia utylitarne i ekonomicznego: Szwecja, jeden z najnowocześniejszych i najbardziej świeckich krajów na świecie, w którym gospodarstwa domowe są zbyt słabe, by wytrzymać izolację, jest tego smutnym potwierdzeniem. W końcu nawet torysi, rządzący obecnie w Wielkiej Brytanii, zostali zmuszeni do wycofania się z polityki celowego zabijania starych i chorych, aby uratować swoją brexitową skórę.

Trudno więc zgodzić się z na poły spiskową teorią Giorgio Agambena, jakoby SARS-CoV-2 był po prostu wyjątkowo zjadliwym wirusem grypy, który spowodował nadmierną reakcję mającą na celu zawieszenie normalności w imię reguły tworzonej przez wyjątek (pisał o tym na łamach „NK” Michał Zabdyr-Jamróż – przyp. red.). Choć wirus nie jest tak groźny jak początkowo sądzono, stanowi wystarczająco duże niebezpieczeństwo, by usprawiedliwić zastosowane środki nadzwyczajne – zgodzi się z tym każdy, kto ma elementarny szacunek dla ludzkiej egzystencji. Trudno też sobie wyobrazić, że rządzący naprawdę pragnęli sytuacji, która naraziłaby ich władzę i majątek na wszelkiego rodzaju niebezpieczeństwa.

Z drugiej strony, pogląd, że kryzys zapewnia zarówno Państwu, jak i Kapitałowi możliwość wygodnego zawieszenia zwykłych norm, jest dużo bardziej wiarygodny. W warunkach lockdownu potęga cyfrowych gigantów i rozwijających się pręźnie podmiotów handlu online znacznie się zwiększyła. To samo odnosi się do zjawiska popularyzacji pracy zdalnej. Taka formuła

pracy powoduje, że pracownicy odizolowani od siebie mają mniejsze możliwości budowania wzajemnej solidarności, a to z kolei umożliwia zdalne sterowanie nimi. Pozorne odwrócenie fordyzmu nie powinno przesłonić nam tego, że taka sytuacja może spowodować ukrytą proletaryzację specjalistów i osób z niższych szczebli kierowniczych, czyniąc ich pracę bardziej rutynową i poddając ją różnym procedurom. Jednocześnie znaczenie osób pracujących na zewnątrz wcale nie musi wzrosnąć: gwałtowny wzrost bezrobocia oraz przyśpieszona atomizacja (w tym ograniczenie procesu łączenia się w związku zawodowe) w tej grupie może przynieść wręcz odwrotne skutki.

Jak oddelegować odpowiednią część działań i odpowiedzialności na poziom lokalny (co jest niezbędne z przyczyn pragmatycznych) i jednocześnie zwiększyć koordynację i solidarność w skali globalnej?

Mimo sporów dotyczących tego, jak radzić sobie z pandemią (lockdown kontra budowanie odporności stadnej, zachowanie zdrowia wszystkich obywateli kontra ratowanie gospodarki), koniec końców wszystkie rządy prawdopodobnie przyjmą połączenie obu strategii i spróbują osiągnąć równowagę. Jeśli chcielibyśmy załagodzić te spory, musielibyśmy przejść do zupełnie

innego porządku politycznego i gospodarczego. Potrzebowalibyśmy co najmniej tak dużego zaufania społecznego i tak silnej koordynacji na poziomie centralnym i lokalnym, jak w demokratycznej i w dużej mierze chrześcijańskiej Korei Południowej, która zastosowała procedury selektywnej izolacji i śledzenia. Również subsydiarne i federalistyczne Niemcy poradziły sobie znacznie lepiej niż Wielka Brytania.

Musieliśmy zastanowić się, do czego właściwie służy praca, i w jaki sposób zrównoważyć pracę w pojedynkę z pracą w bezpośredniej bliskości fizycznej z innymi, by utrzymać społeczne korzyści i zapewnić osobisty rozwój pracowników. Musieliśmy rozważyć, jak zminimalizować zagrożenia związane z pracą na zewnątrz, jak je zrekompenzować, jak zapewnić bezpieczeństwo osobom zagrożonym bezrobociem i niestabilnością. Aby zapobiec prekaryzacji, musieliśmy uznać znaczenie i ciężar gatunkowy zajęć bardziej „podstawowych”, takich jak budownictwo, transport, obsługa i opieka. Musieliśmy uznać je za działalność twórczą, i traktować z odpowiednim szacunkiem.

To rozumowanie prowadzi do wniosku, że kryzys prawdopodobnie przyniesie niewiele zmian poza nasileniem dotychczasowych negatywnych tendencji.

Pomiędzy filozofiami

W środowisku lewicowo-liberalnym mamy do czynienia ze sporem: czy powinniśmy przyjąć z zadowoleniem nową „solidarność czasów wojny”, wywołaną przez kryzys, czy też raczej opłakiwać ograniczenia wolności, które on przynosi. Za tym napięciem stoją o wiele starsze spory. Dotyczą one tego, czy powinno się rozważać obcą twarz współczesności i negatywnie dialektyczny wpływ oświecenia przede wszystkim w ka-

tegoriach marksistowskiej alienacji pracy (jak Badiou i Žižek), czy też Weberowskiej kontroli biurokratycznej – czasem postrzeganej jako technokracja „heideggerowska” (jak twierdzą Derrida, Nancy i Stiegler), czy nawet jako Foucaultowska biopolityka (Agamben i do pewnego stopnia Latour). Czy Kapitał jest ludzkim czynnikiem kontroli, który może zostać obalony tylko poprzez prawdziwą sprawczość Pracy, czy raczej problemem jest samo fantazjowanie o jednym kontrolującym podmiocie, określanym mianem „państwa”, który próbuje stłumić naturalną wielość czynników kontroli poprzez systemy złożonej instrumentalizacji, nadzoru i ingerencji w egzystencjalne i witalne aspekty ludzkiej rzeczywistości? Jeśli prawdziwa jest ta druga teza, to wyzwolić musimy nie ludzką pracę jako niewyalienowaną podmiotowość, ale wielość oddziałujących wzajemnie na siebie podmiotów, nie tylko ludzkich. Albo człowiek powinien zawiesić wszelkie działanie i odzyskać mityczną, rajską zwierzęcość (Agamben), albo zaangażować się w demokratyczne, założycielskie negocjacje ze wszystkimi innymi naturalnymi czynnikami sprawczymi (Latour).

W zależności od tego, czy preferuje się Marksa czy „lewicę Weberowską”, w obecnym kryzysie można dostrzec albo obietnicę, albo zagrożenie. Być może możliwa jest jednak synteza tych dwóch ujęć negatywnego aspektu współczesności. Z jednej strony, praca jest po części wyalienowana, ponieważ, jak wskazywali John Ruskin, Patrick Geddes i Lewis Mumford, materializm nie może uwzględnić jej wyższych, duchowych celów. Z drugiej strony, Państwo nie dąży tylko do władzy dla własnego dobra, ale dąży także do władzy wyalienowanej, którą można określić jako kontrolę – tylko dlatego, że

utracony został wspólny duchowy horyzont. W tej perspektywie można więc próbować zintegrować podejście Webera z pewną odmianą myśli marksistowskiej. Tak jak kapitalizm czyni z dóbr naturalnie dostępnych dobra rzadkie, i kreuje nowe, trudno dostępne, by podtrzymać rentowność i pozycję konkurencyjną, tak i cała nasza polityka ma tendencję do „oszczędzania” zarówno na życiu, jak i innych naturalnych zjawiskach. Czyni je bowiem w sposób selektywny bardziej niepewnymi, a nielicznym oferuje środki zaradcze i rozwiązania podlegające jednocześnie siłom rynkowym i biurokratycznym regulacjom. W obu przypadkach władza rośnie w takim samym stopniu jak zysk – tak jak zysk kapitalisty jest nierozłącznie związany z władzą.

Kryzys zapewnia zarówno Państwu, jak i Kapitałowi możliwość wygodnego zawieszenia zwykłych norm

W obu przypadkach poszukuje się pustego i narcystycznego *libido dominandi* (jeśli użyć określenia św. Augustyna). Jest to cel liberalizmu, rozumianego jako filozofia oparta na prymacie woli jednostki. Myśl świecka nie potrafi rozpoznać prawdziwego problemu, którym jest sam model liberalny, i dlatego największego zła współczesności upatruje na zmianę albo w pieniądzach, albo we władzy; ewentualnie krytykuje liberalizm, ale nie zrywa z jego modelem. Dlatego, odwracając słowa Viktora Orbána, Žižek stanowczo oświadcza, że „komuniści to liberałowie z dyplomami”. Ma na myśli (w zgodzie z linią Hobbesa

i Locke’a), że podmiot w stanie otwartej wolności jest dialektycznie identyczny z otwartą przypadkowością materii. Oczywiście, jak to zaobserwował Nietzsche, w takiej sytuacji nie mamy żadnych metafizycznych podstaw do kwestionowania działań czystej władzy, alienacji pracy czy iluzorycznego spektaklu, który służy do tego, żeby nas zwodzić (ponieważ za Lacanowskim „Realnym” w postaci niedostępnie zagadkowego widma subiektywności materii nie kryje się żadna rzeczywistość), ani też dominacji człowieka nad naturą, gdyż sama ta dominacja jest z tego powodu najbardziej naturalną rzeczą ze wszystkich.

Równie metakrytycznym i metafizycznym zadaniem byłoby odkrycie nie dialektycznej tożsamości podmiotu i natury (lub *physis* jako „postaci”, a więc treści), ale twórczego napięcia między nimi, zakorzenionego we wspólnym uczestnictwie w transcendentnym porządku, podtrzymującym rzeczywistość zarówno ducha, jak i obiektywnie pożądanym celów duchowej ekspresji poprzez pracę nad materią i interakcję z innymi naturalnymi (i w pewnym stopniu duchowymi) czynnikami sprawczymi.

Pomiędzy duchowościami

To doprowadza nas do trzeciego napięcia utrzymującego się pomiędzy tymi, którzy, jak Žižek, celebryją naszą obecną troskę o życie jako takie, i tymi, którzy, jak Agamben, ostrzegają przed redukcją do „nagiego życia”, które ostatecznie w ogóle życiem nie jest. Ta debata ma swój kościelny i teologiczny odpowiednik: większość liderów religijnych jako priorytet traktuje medycynę, a więc ratowanie życia biologicznego, jednak są też twórcy, przede wszystkim Rusty Reno, którzy sugerują,

że to jedynie ostateczna świecka zachęta do tego, by życie biologiczne traktować jako ważniejsze od pełnego życia duchowego. W ten sposób argumentują przeciwko zamknięciu kościołów i zawieszeniu publicznych nabożeństw.

I znów obie strony mają po części rację. Stwierdzenie, że środki przyjęte w obliczu wojny czy zarazy mają być stosowane już zawsze, byłoby nadmiernie historyczne. Ponieważ jesteśmy istotami cielesnymi, życie biologiczne jest tak naprawdę podstawą wyższych sposobów istnienia. Z drugiej strony doskonale wiemy, że środki nadzwyczajnej ostrożności często są utrzymywane po ustaniu zagrożenia, i ma to zarówno dobre, jak i złe skutki. W Wielkiej Brytanii kościoły były często zamykane niepotrzebnie. Obok kościołów, także inne mniej praktyczne, ale za to sprzyjające wspólnotowości przestrzenie publiczne (w tym biblioteki i puby), będą otwierane jako ostatnie – właśnie dlatego, że nie skupiają się na „nagim” życiu i ekonomicznym aspekcie przetrwania.

Widzimy, że pandemia przyczynia się do pogłębienia izolacji i ograniczenia kontaktu fizycznego, sprzyjając w ten sposób rozpowszechnianiu się postawy „dziel i rządź”. W dłuższej perspektywie może przyczynić się również do zwiększenia nadmiernej obsesji unikania ryzyka oraz ciągłym szacowaniu jego rozmiarów, co obecnie w znacznym stopniu umożliwiają urządzenia cyfrowe. W przypadku przemieszczania się i transportu (spacerowanie, wspinaczka, jazda na rowerze, żegluga), jak również w przypadku interakcji międzyludzkich (w tym seksualnych) to my jako jednostki decydujemy, kiedy zaryzykować, a kiedy zostać w domu. Zagrożenia krępują nas bardziej, gdy obliczamy przeciętne prawdopodobieństwo ich wystąpienia i mamy narzędzia po-

zwalające na ich unikanie i minimalizację. Wszystko to zapewnia nam bezosobowa agregacja naszych życiowych doświadczeń, dokonywana przez państwo i rynek. Kiedy zaczynamy patrzeć na siebie z zewnątrz, przedmiotowo, przez pryzmat publicznego spektaklu, przestajemy być sprawczymi podmiotami, które umieją spontanicznie ocenić, którym zagrożeniom należy stawić czoła, a których należy unikać. Na tę ocenę wpływa rzecz jasna także wrodzony lub nabyty temperament, który jest również częścią tego, kim jesteśmy.

Odwrotną stroną unikania naturalnego ryzyka jest podejmowanie masowego ryzyka przez połączone Kapitał i Władzę, które w rzeczywistości naraża nas wszystkich na wykładniczo zwiększone niebezpieczeństwo choroby, zarówno fizycznej, jak i psychicznej, a ostatecznie – na śmierć. Tak jak podstawą „czystej władzy” i Kapitału jest ograniczanie dostępu do tego, co naturalnie dostępne, tak i podstawą (pozornie pożądanego) uniknięcia ryzyka na poziomie jednostki jest tak naprawdę jego alienacja, a więc przeniesienie na poziom masowy – tak jak w przypadku bomby atomowej. Tak więc rządzenie poprzez unikanie ryzyka („bezpieczeństwo i higiena”) to tak naprawdę rządy poprzez stałe zawieszenie (w obu znaczeniach) ogromnego topora nad naszymi głowami.

Jak mówi Agamben, w ten sposób zostajemy zredukowani do „nagiego życia”, ponieważ ostatecznie tego życia nie możemy porzucić jak kozła ofiarnego, wypędzonego za bramy miasta. To, że największą wartość przypisujemy życiu biologicznemu pozbawionemu ryzyka, nie wynika bowiem z tego, że naprawdę doceniliśmy życie, lecz z tego, że każde życie zostało poddane monetyzacji, podporządkowane Państwu i Kapitałowi; paradoksalnie stało się tak również z życiem

ludzi bogatych i wysoko postawionych. Liberalizm jest nihilizmem i inwersją: jeśli liczy się tylko negatywna wolność, to mamy do czynienia jedynie z uwolnieniem nagiej siły materii, co jest równoznaczne ze śmiercią.

Kościół nie powinny być więc milczeć podczas tego kryzysu, ani też tak łatwo zgodzić się na uczynienie świętych przestępstw niewidzialnymi.

Wnioski: po COVID-zie

Jak nasza obecna sytuacja i powyższe refleksje mogą się odnosić do bieżącego i przyszłego kryzysu ekologicznego?

Wiele osób, w tym ja, zauważyło, że bez naszego udziału przyroda wydaje się lepiej prosperować: ptaki śpiewają głośniej, ryby wracają do kanałów, jelenie wędrują swobodniej i pojawiają się w samych sercach miast. Inni jednak zwracają uwagę, że jest to po części mylące. Kanie rude tęsknią za przydrożną padliną, a wiele innych bardziej udomowionych zwierząt domowych i roślin marnieje bez naszej opieki. Tak naprawdę stawianie ludzi w kontrze do świata przyrody dalekie jest od ekologicznej postawy: jesteśmy jednym z wielu naturalnych podmiotów i jako tacy mamy do odegrania dobrą (być może nawet biblijną) naturalną rolę. Nie chodzi tu o alternatywę przedstawianą przez liberalizm, według której możliwa jest albo dominacja nad naturą, albo jej wyzwolenie. Chodzi raczej o alternatywę wspólnotową, polegającą na znalezieniu właściwej równowagi pomiędzy różnymi podmiotami świata przyrody oraz między otwartą ludzką podmiotowością a tymi (bardziej stałymi) podmiotami. One potrzebują naszej swobodnej i czujnej opieki; my z kolei potrzebujemy ich jako treści i bodźców z ich strony, by żyć pełnym życiem.

Dobra relacja z przyrodą wymaga od nas bardziej bezpośredniego, osobistego i niewirtualnego kontaktu z naszym lokalnym środowiskiem, które musi być bardziej samorządne i samowystarczalne zarówno pod względem ekologicznym, jak i politycznym. Jednocześnie nie możemy ignorować zasadniczej, planetarnej jedności międzyludzkiej, która wymaga znacznie lepszej koordynacji międzynarodowej, jeśli mamy przetrwać, nie mówiąc już o rozkwicie. Formą tej koordynacji raczej nie będzie (i nie powinien być) rząd światowy, kierowany przez osobowych władców. Z drugiej strony, potrzebna jest globalna koordynacja, która, aby działać sprawnie, nie może być tylko „bezosobowa” ani opierać się jedynie na stałych zasadach i procedurach.

**Formuła pracy online
powoduje, że pracownicy
odizolowani od siebie mają
mniejsze możliwości
budowania wzajemnej
solidarności, a to z kolei
umożliwia zdalne
sterowanie nimi**

Przydałoby się wymyślić coś nowego, formę, która uwzględniać będzie dzieloną suwerenność i wzajemną, międzynarodową samorządność; Unia Europejska, pomimo wszystkich swoich niedoskonałości, poczyniła już pewne kroki w tym kierunku. By ten projekt udał się, musi wyłonić się poczucie globalnej kultury metafizycznej, wycucie globalnego sacrum, które może zapewnić przestrzeń dla

Ducha, a więc dla godności ludzkiej pracy i wszystkich innych naturalnych czynników sprawczych.

Wykład wygłoszony podczas konferencji Europe: „Recovery or Renewal?” zorganizowanej przez Światowy Ruch Katolików na rzecz Środowiska i Uniwersytet Papieski Jana Pawła II w Krakowie.

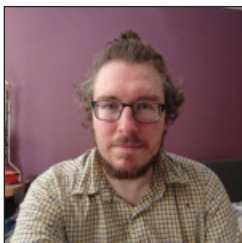
tłum. Dominika Chmielewska

Przekład przejrzał Mateusz Piotrowski i Jarema Piekutowski

Całość konferencji i debaty Johna Milbanka z Rocco Buttiglione wraz z Chantal Delsol, Markiem Rymsha i Jaremą Piekutowskim do wysłuchania tu

<https://www.facebook.com/197272847700522/videos/417487826047104>

Czy boty zabiorą nam demokrację?



PIOTR WILKIN

Doktor filozofii, magister informatyki, specjalizujący się naukowo w kognitywistyce i filozofii języka, aktualnie pracujący jako projektant systemów informatycznych

Boty używane są do tego, żeby podsycać wszystko to, co najgorsze w naszym społeczeństwie: sieją dezinformację, nakręcają skrajne emocje, polaryzują społeczeństwo, promują teorie spiskowe, podżegają ludzi przeciwko sobie

Wyobraźmy sobie następujący scenariusz. Wielkie miasto, poranek. Tłumy ludzi kłębią się na ulicach, idąc do pracy lub w innym, sobie tylko znanym celu. Nagle – zamieszanie. W tłumie ktoś zaczyna krzyczyć „Dość tego! Czas coś zrobić z tym rządem!”. Po chwili przyłączają się do nich inne głosy: „Te ostatnie podatki to już było przegięcie”. „Zaj...ć k...y!” – krzyczy krzepki mężczyzna na rogu ulicy. „Idziemy na parlament!” – woła elegancka, stylowo ubrana kobieta, wymachując trzymanym parasolem i wskazując drogę w kierunku budynków rządowych. Naprzeciwko staje kilku krzepkich osobników, krzycząc „Terrorysty! Nasz kraj jest w niebezpieczeństwie!”. Mało kto zdaje sobie tylko sprawę, że większość okrzykujących to nie ludzie – to doskonale zamaskowane androidy, sterowane przez jednego z Demiurgów, obserwujących sytuację z okolicznych wieżowców.

Brzmi jak początek kiepskiej powieści SF? Problem w tym, że, gdyby potraktować miasto jako alegorię przestrzeni social mediów, to ten obrazek zdaje się być nie-

zgorszą ilustracją tego, co w owych mediach dzieje się już teraz. Media społecznościowe zostały zdominowane przez boty. W niedawnych badaniach naukowców z Carnegie Mellon postawiono hipotezę, że nawet połowa uczestników dyskusji nt. koronawirusa w USA nie pochodzi od ludzi. Czy to znaczy, że padliśmy już ofiarą jakiegoś, na razie wirtualnego, SkyNetu, wyrafinowanej sztucznej inteligencji?

Nic z tych rzeczy. Oczywiście badania nad sztuczną inteligencją nadal trwają, a prawdziwe boty – takie wirtualne w stu procentach, składające się wyłącznie z algorytmów – pełnią coraz bardziej złożone funkcje głównie w działach obsługi klienta, odpowiadając na typowe pytania i udzielając porad w szablonowych kwestiach. Wbrew entuzjastom koncepcji „osobliwości” (ang. singularity), którzy uważają, że czeka nas scenariusz rodem z „Terminatora” i przejście władzy przez świadome maszyny, jesteśmy bardzo daleko od wyprodukowania czegoś, co określa się mianem „ogólnej sztucznej inteligencji”, czyli takiej AI, która będzie w stanie swobodnie

rozmawiać (bądź po prostu wnioskować) na dowolne tematy, a nie tylko odpowiadać na pytania w wąskiej dziedzinie przedmiotowej. To oznacza, że jeśli coś nakręca dyskusje w internecie, nie są to bynajmniej algorytmy sztucznej inteligencji.

Atakowani przez drony

Czym zatem są boty? Odpowiedź na to pytanie jest złożona. W rzeczywistości, mówienie o botach jako takich nie ma raczej sensu. Większy sens miałyby mówienie o dronach albo o sieciach dronów. Takie sieci, określane mianem „botnetów”, spełniają w mediach społecznościowych dwojakie funkcje. Po pierwsze, mogą być kontrolowane przez ludzi, którzy za pomocą odpowiednich kont wstrzykują spreparowany przekaz. Po drugie, mogą masowo generować ruch: proste komentarze o uniwersalnej treści emocjonalnej (w stylu „Super!” bądź „Spadaj.”) czy też – specyficzne dla mediów społecznościowych – lajki i podania dalej. Problem w tym, że nawet, jeśli za określonymi komentarzami stoją żywi ludzie, to mechanizm botnetu pozwala im sztucznie sklonować swój przekaz. Jeden operator botnetu może, za pomocą w pełni zautomatyzowanego narzędzia, napisać np. kilkaset komentarzy w ciągu godziny i każdy będzie wyglądał, jakby był napisany przez inną, żywą osobę. Co więcej, każdy z tych komentarzy może zostać, jednym kliknięciem, polajkowany i udostępniony przez tysiące kont z botnetu. Dodajmy teraz do tego fakt, że w instytucjach sterujących botnetami, jak np. osławiona rosyjska Agencja Badań Internetowych, zatrudniane są do podobnych działań dziesiątki osób na raz...

Czy jesteśmy w stanie wykrywać boty w mediach społecznościowych? Tutaj sprawa jest niejednoznaczna. Na wielu

stronach można spotkać poradniki pt. „jak odróżnić bota od żywego człowieka w social media” i rzeczywiście, wspomniane instrukcje mogą być w tym celu przydatne. Problem w tym, że nawet z wykorzystaniem tych instrukcji weryfikacja pojedynczego konta zajmuje dużą ilość czasu i energii, a poradenie sobie z problemem botów wymaga nie zdolności weryfikacji pojedynczych kont, tylko hurtoowego ich eliminowania z sieci społecznościowych w podobnym tempie, jak konta te są zakładane. Co więcej, dochodzi tutaj trudność psychologiczna. Botnety są często wykorzystywane do podkręcania zupełnie realnych konfliktów społecznych, a zatem ludzie, którzy nagle zyskują dla swoich treści nowe zasięgi, niekoniecznie będą zainteresowani tym, żeby weryfikować, czy tworzą je inni ludzie z krwi i kości, czy może są one sztucznie podbijane.

W niedawnych badaniach naukowców z Carnegie Mellon postawiono hipotezę, że nawet połowa uczestników dyskusji nt. koronawirusa w USA nie pochodzi od ludzi

Chętnie za to oskarżenia o promocję za pomocą botów podniosą polityczni czy ideologiczni oponenty, robiąc z oskarżenia o „boty” kolejną plemienną inwektywę zamiast weryfikowalnego zarzutu.

Jeśli chodzi o zautomatyzowane wykrywanie botów, tutaj również sprawa jest coraz trudniejsza. Przede wszystkim,

postępy w sztucznej inteligencji dotyczącej generowania twarzy ludzkich (polecam wybranie się na stronę „This Person Does Not Exist”) spowodowały, że nie da się już stosować heurystyki polegającej na filtrowaniu profili bez zdjęcia/ze skradzionym zdjęciem. Również same metody „nakręcania lajków” stają się bardziej subtelne, wykorzystując badania empiryczne tak, aby upodobnić mechanizmy „lajkowania postów” do rzeczywistej dynamiki propagowania popularnych wpisów przez żywych ludzi. Jeśli gdzieś zobaczymy spektakularny wykres pokazujący, że jakąś sondę internetową „ustawiły boty”, bo w przeciągu sekundy „dosypano” 10 tys. głosów, to wiemy jedynie, że mamy do czynienia z amatorami. Profesjonalistów w ten sposób nie da się już wykryć.

Boty są skuteczne

Z powyższych rozważań wszystkiego wyłania się dość smutny obraz. Wygląda na to, że w walce z botami jesteśmy skazani na porażkę. Czy jednak mamy się czego obawiać? Wszak boty były obecne w przestrzeni internetowej od dawna. Ustawiane sondy internetowe to nie jest jednak historia ostatnich kilku lat, a przesadnie się nimi nie przejmujemy, a już na pewno nie twierdzimy, że mają znaczący wpływ na kondycję naszej demokracji. Mamy niestety badania pokazujące, że boty w social media osiągają oczekiwane cele. Po wyborach w 2016 roku australijscy badacze wykonali kompleksową analizę ruchu w social media po debacie Clinton – Trump i wykazali, że boty produkujące treści po stronie Trumpa były skuteczniejsze (w zakresie generowania ruchu o sprzyjającej treści wśród pozostałych, niezautomatyzowanych użytkowników Twittera), niż żywi „influencerzy” po stro-

nie Clinton. W przypadku koronawirusa mamy liczne badania wskazujące na szkodliwy wpływ social mediów: zarówno pod względem podsycania paniki, jak i udostępniania fałszywych informacji. W tym przypadku największe platformy zastosowały koniec końców filtry odsiewające tego typu treści – szkody społeczne zostały już jednak poczynione. W przypadkach, gdzie trudno jest o konsensus politycznych elit, nawet na takie spóźnione filtrowanie nie ma co liczyć.

Boty zaś używane są do tego, żeby podsycać wszystko to, co najgorsze w naszym społeczeństwie: sieją dezinformację, nakręcają skrajne emocje, polaryzują społeczeństwo, promują teorie spiskowe, podżegają ludzi przeciwko sobie. Podsumowaniem działających mechanizmów niech będzie następujący ustęp z tekstu w „Nature” traktującego o „infodemii COVID-19 w social media”: „Użytkownicy w mediach społecznościowych mają tendencję do pozyskiwania informacji pasujących do ich światopoglądu, ignorowania informacji z nim sprzecznych, a także do tworzenia spolaryzowanych grup wokół współdzielonych narracji. Ponadto wysoka polaryzacja sprzyja łatwemu rozprzestrzenianiu dezinformacji”. Efekty tego wiadać np. w USA, gdzie w trakcie 4 lat rządów Trumpa bardzo mocno wzrosła szkodliwa polaryzacja społeczeństwa – mierzona tak wymiernymi czynnikami, jak to, jaki procent wyborców republikanów/demokratów utrzymuje kontakty towarzyskie z osobami z „przeciwległego obozu” (im mniej, tym społeczeństwo jest bardziej spolaryzowane). Postulaty, żeby temu przeciwdziałać np. przez edukację nie są możliwe do zrealizowania. Powinniśmy ludzi oczywiście edukować, ale statystycznie ludzie będą bezsilni przeciwko zmasowanym narzędziom manipulacji,

bo w ten sposób działają nasze mózgi – wykształcić w sobie odpowiednie mechanizmy, żeby umieć przeciwdziałać samotnie tym narzędziom potrafią nieliczni, nawet spośród tych wyedukowanych. W skali społeczeństwa nie pozwoli to na rozwiązanie żadnego problemu. Rozwiązanie może być wyłącznie systemowe.

Chaos się opłaca

Czy jednak takiego systemowego rozwiązania na pewno nie możemy zapewnić? Raz na jakiś czas Twitter czy Facebook chwala się akcją masowego skasowania tysięcy „fałszywych kont”. „Twitter kasuje 170 tys. kont wiązanych z rządem Chin”, „Twitter kasuje 70 tys. kont promotorów teorii spiskowej QAnon” – jak widać, nie jest to całkiem niemożliwe. Dlaczego zatem nie dzieje się to systematycznie?

Tutaj czas na zwrot akcji, jak w każdym porządnym thrillerze. Otóż obrazek S-F, który naszkicowałem na samym początku, nie był do końca trafny. W rzeczywistości należałoby go nieco skomplikować. Miasto w owej opowieści nie jest zwykłym miastem – jest miastem niczym w snach bohaterów z filmu „Incepcja”, gdzie ulice i budynki zmieniają swój kształt i pozycje, a na mieście pojawiają się nowe, świeżące billboardy, kierujące nas w stronę masowych wydarzeń. W miarę tego, jak ludzie zaczynają iść w jakimś kierunku, ulice poszerzają się, a boczne uliczki zwązają albo zupełnie znikają. W efekcie zmasowana wojna androidów pod parlamentem spowoduje, że zwykli ludzie zostaną gorąco zachęcani do uczestnictwa w tym wydarzeniu – miasto zmieni swój kształt tak, aby ulice prowadzące do budynków rządowych były szerokie, łatwo dostępne, a wszędzie będziemy bombardowani neo-

nami krzyczącymi na zmianę „obal tych łajdaków” bądź „broń swojej władzy”.

W ramach owej filmowej logiki, tutaj również mamy bowiem siły, które nie były widoczne od początku, a w rzeczywistości wpływają na rozwój wydarzeń. Tymi siłami są właściciele największych sieci społecznościowych i algorytmy, które nimi kierują. Wynika to z modelu monetyzacji owych sieci. Jako że za rejestrację na FB ani na TT nie płacimy, sieci zarabiają wyłącznie na reklamach. Wpływy reklamowe są natomiast wprost proporcjonalne do generowanego na serwisie ruchu. Sieciom społecznościowym zależy zatem na ciągłym ruchu. Dodajmy do tego brakującą przesłankę: nic nie wygeneruje ruchu tak,

Mediom społecznościom nie opłaca się tak naprawdę walczyć z botnetami. Robią to dopiero wtedy, kiedy działalność tych botnetów zaczyna być zbyt widoczna, kiedy robi się „bad for business”

jak kontrowersje, polaryzacja i nakręcone emocje. Wychodzi z tego dość jasna historia: mediom społecznościom nie opłaca się tak naprawdę walczyć z botnetami. Robią to dopiero wtedy, kiedy działalność tych botnetów zaczyna być zbyt widoczna, kiedy robi się „bad for business”. Nakręcanie spiskowych nastrojów wśród zwolenników Trumpa było faktem od dłuższego czasu, ale konta związane z QAnon skasowano dopiero po ataku na Kapitol.

Konta rozpowszechniające teorie spiskowe związane z COVID-em skasowano, zgodnie z oficjalnym uzasadnieniem, nie za potencjalne nakręcanie śmiertelnej pandemii, tylko za... związki z chińskim rządem. Takie „zrywowe” reagowanie na problem jest niemalże gwarancją tego, że organizacje dysponujące mniej spektakularnymi botnetami mogą czuć się zupełnie bezkarne.

Czy państwo da radę?

Przyzwyczailiśmy się już do tego, że w naszych społeczeństwach istnieje coś takiego, jak „przestrzeń publiczna”. Nie należy ona do podmiotów prywatnych, a zasady postępowania w owej przestrzeni są uregulowane umową społeczną. Niestety, w przypadku internetu nadal dominuje myślenie, zgodnie z którym np. sieci społecznościowe są kolejną, zwykłą usługą internetową, a państwowa ingerencja powinna co najwyżej obejmować przepisy prawa karnego. Pod tym względem internet jest obecnie podobny do „Dzikiego Zachodu” z pierwszych lat kolonizacji Stanów Zjednoczonych.

Ta iluzja nie może jednak trwać zbyt długo. Jak widzimy po wielu wydarzeniach (ruchy spiskowe wokół koronawirusa czy ruch QAnon to tylko przecież najnowsze z licznych przykładów), media społecznościowe w obecnym kształcie mają jednoznacznie negatywny wpływ na spójność naszych społeczeństw. Ten dezintegrujący wpływ paradoksalnie bywa zaletą w walce z różnymi autokratycznymi reżimami, gdzie media społecznościowe pozwalają na mobilizowanie się przeciwników władzy i koordynację działań na wcześniej niespotykanym poziomie. Natomiast w państwie demokratycznym jego wpływ jest mocno negatywny. Nie da się dłużej bronić

iluzji, że mamy do czynienia z normalnymi mechanizmami rynkowymi i sprawę należy pozostawić kierownictwom odnośnych firm – skala społecznego wpływu i oddziaływania tych korporacji jest tak wielka, że bez poddania ich jakiejś formie społecznej kontroli możemy za chwilę obudzić się w dystopii rodem z S-F gatunku cyberpunk, gdzie światem rządzą wielkie,

Niestety, ze względu na schemat monetyzacji tych firm, problem jest strukturalny – każda redukcja toksycznych interakcji oznacza dla tych firm realną utratę dochodów

ponadnarodowe megakorporacje. Oczywiście wprowadzenie państwowych regulacji do internetu zawsze budzi mocne opory, związane z lękiem przed zastąpieniem jednej patologii inną w postaci państwowego wszechobecnego obserwatora. Niemniej jednak nie powinniśmy rozmawiać tutaj na poziomie ogólników, a na poziomie szczegółów. Powinniśmy zdefiniować przestrzeń internetową tak, jak definiujemy przestrzeń fizyczną i określić reguły dostępu do niej. Zamiast komercyjnych mechanizmów społecznościowych, promujących toksyczne interakcje tylko dlatego, że są bardziej liczne i generują większy ruch reklamowy, powinniśmy dysponować neutralnymi protokołami sieci społecznościowych oraz regułami dostępu do nich.

Oczywiście, nie należy liczyć na to, że giganty cyfrowe poddadzą się bez walki. Niestety, ze względu na schemat monetizacji tych firm, problem jest strukturalny – każda redukcja toksycznych interakcji oznacza dla tych firm realną utratę dochodów. Dlatego Facebook, Twitter czy Google mogą sobie tworzyć rozmaite „centra doradcze ds. etyki”, ale miejmy świadomość, że będą to tylko wirtualne wydmuszki, pozorowane działania PR-owe dokonywane za mikroskopijny ułamek kwot, o których mówilibyśmy w przypadku realnego wprowadzenia etycznych ograniczeń ich działalności. Tutaj musi wkroczyć państwo – rozumiane nie jako opresyjny kontroler o konkurencyjnych interesach w nadzorze nad społeczeństwem, tylko jako realizator umowy społecznej.

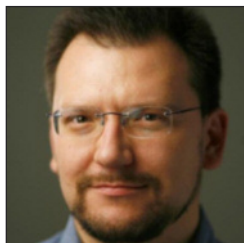
Nie możemy dłużej czekać

Nie wiadomo niestety, na ile skutecznie państwo będzie w stanie przekonać własnych obywateli do tego, że kontrola nad sieciami społecznościowymi jest niezbędna. Korporacje internetowe (znane pod akronimem GAFA od nazw czwórki największych gigantów: Google, Apple, Facebook, Amazon) są bowiem w stanie w przezroczyście sposób przekraczać granicę pomiędzy byciem stroną sporu a byciem medium, za pomocą którego prowadzony jest spór. Jeżeli możemy na coś liczyć, to na naturalny w globalnym kapitalizmie konflikt interesów – oto na przykład na bieżąco możemy obserwować konflikt pomiędzy korporacjami informacyjnymi a korporacjami cyfrowymi w zakresie szeroko pojętego „podatku od

linków”, z najnowszą odsłoną konfliktu w postaci wyłączenia z znacznej części usług Facebooka w Australii. Ostatnią taką wojnę – o ACTA – wygrała „frakcja internetowa”. Czy teraz będzie inaczej – czas pokaże. Na pewno jedną z ulubionych strategii firm odpowiedzialnych za media społecznościowe jest gra na czas: torpedowanie wszelkich twardych regulacji przy równoczesnych ruchach pozorowanych, jak wspomniane „komisje etyczne” czy też kasowanie wybranych wątków, gdzie temperatura sporu staje się szkodliwa dla wizerunku firmy. Niestety, wspomniane wcześniej badania dot. szkodliwej polaryzacji społeczeństw pokazują, że nie stać nas na tolerowanie tej gry na przeczekanie.

Na tytułowe pytanie odpowiedzieć należy zatem: nie, boty nie zabiorą nam demokracji. To nie znaczy jednak, że nie ma zagrożenia. Demokrację mogą nam bowiem, jak to zresztą tradycyjnie w historii bywało z wieloma wolnościami, zabrać chciwi oligarchowie, którzy w pogoni za wpływami i pieniądzem rozerwą nam społeczeństwo na strzępy. Boty będą tylko mimowolnym narzędziem destrukcji. Jak wielokrotnie w historii bywało, stoimy w tym miejscu, gdzie musimy zmobilizować się przeciw wpływowym jednostkom, które zyskały zbyt dużo zbyt szybko i zachłyśnęły się swoją władzą i pieniędzmi. Mamy nadal narzędzia demokracji przedstawicielskiej, nie jesteśmy bezbronni, ale czas, jak pokazują chociażby wydarzenia z USA, nie gra na naszą korzyść. „Cyberpunk 2077” może ziścić się, niestety, dużo, dużo szybciej.

Nasz Adam i Redaktor Michnik



WOJCIECH STANISŁAWSKI

Doktor historii, publicysta

Biografia pióra Romana Graczyka nie daje satysfakcji wyznawcom złotej ani czarnej legendy Michnika. Ale też, być może, jest to jej największa zaleta. Ostrożność autora jest atutem, gdyż chroni przed demagogią, ale i wadą – jeśli utrudnia rozpoznanie stanu rzeczy

Gdyby „giełda literacka” nie była tylko dosyć zwietrzałą frazą, ot, błyskotką jakby żywcem wziętą z felietonów Putramenta sprzed pół wieku, miło byłoby sobie wyobrazić, jak pod koniec lutego, w oczekiwaniu debiutu giełdowego, rosły na niej notowania „Demiurga”. Wydawcy w czerwonych szelkach przechadzają się z udawanym opanowaniem, konkurenci wściekle szepczą coś do zaciśniętych w dłoniach komórek. Nawet ci, którzy nie słyszeli plotek o wcześniejszych nieudanych próbach zmierzenia się z biografią Michnika autorów bliskich wszak „Wyborczej”, jak Roman Kurkiewicz, którzy nie znali prób opisanie redaktora naczelnego „Gazety” i bohatera przedsierniowej opozycji (a prób takich było trochę – „z lewa”, w postaci groteskowo przesłodzonej biografii pióra Cyrila Bouyeure (WL, 2009) i „z prawa”, w postaci różnych edycji wspomnień-pamfletów pióra niedawno zmarłego Stanisława Remuszki) powinni zastrzyc uchem.

Jest bowiem naprawdę coś zdumiewającego w tym, że biografii z prawdziwego

zdarzenia doczekała się większość ojców niepodległości z 1989, wielkich postaci polskich drugiej połowy XX wieku – a nie miał jej Adam Michnik. Mają ich – po kilka, kilkanaście, dobrych lub bezna-dziejnych – Wojtyła, Wałęsa, Jaruzelski, Kuroń, Kaczyński, Mazowiecki, Wyszyński, Walentynowicz, Herbert, Miłosz, Gierek i Giedroyc, Romaszewscy i Turowicz, Kiszczak, Rakowski i Raczyński (przepraszam za ten ciąg nazwisk bez imion, ale w innym przypadku akapit ten przypominałby stro-nę książki telefonicznej). A Michnik? Nic, prócz wspomnianego Bouyeure’a, rozmowy-rzeki z Jackiem Żakowskim sprzed ćwierć wieku oraz – piszę to bez ironii – „Dzieł zebranych”, wydawanych przez lata przez Zeszyty Literackie.

Wytapiając biografie

Michnik nieznanym zatem? Ależ nie! Bo przecież zarazem Michnik jest znany, szalenie znany, na różnych poziomach obiegu tekstu i informacji: jest znany za sprawą tysięcy swoich artykułów, komentarzy

i wypowiedzi, „czarnej piany gazet” – ale i kilkunastu esejów i kilku książek, które moim zdaniem weszły do kanonu polskiej prozy politycznej XX wieku. Ale także za sprawą podręczników historii, reportaży historycznych, wiecznie powielanych zdjęć, ale i dziesiątków anegdot ze swoim udziałem, ale i licznych „skrzydlatych słów”, które weszły do polszczyzny i których autora każdy potrafi wskazać. Kto, spytam retorycznie, kto spośród ludzi bodaj trochę interesujących się sprawami publicznymi nie zna zdjęcia Michnika leżącego u św. Marcina podczas głodówki w 1977? Kto nie potrafi przytoczyć frazy „Jestem elementem antysocjalistycznym”, ale i „Odpieprcie się od Generała”? Kto nie kojarzy listów otwartych studentów UW z marca 1968, historii z Magdalenki, zeznań z komisji Rywina?

Jest więc Adam Michnik – to jeden z wielu paradoksów z nim związanych, sprzeczności, które okiełznał (czy okiełznał?) – zarazem nieznany i powszechnie znany. Różne elementy jego bogatej, ponad pół wieku trwającej działalności publicznej, w różnych przybliżeniach (tu anegdota czy plotka, tam tysiącestronicowa książka prof. Friszkego o KOR-ze) i różnych „stężeńiach” (tu zdjęcie z Jackiem Kuroniem, tam „Kościół, lewica, dialog”) są współobecne w potocznej świadomości. Jest to mieszanina kakofoniczna, której brakowało ujednolicenia narracji, przetopienia tych ton rudy i złomu w stop. Tak zresztą przecież, w drodze wytopu, powstają biografie wielkich ludzi – ze strzępów wspomnień i cukierkowych czytanek, którym historyk zdoła nadać wspólny mianownik, opisać je z jednolitej perspektywy. Czy tak stało się w przypadku „Demiurga”?

Powiem z ostrożnością, której mógłby mi pozazdrościć Roman Graczyk: jak na okoliczności, w jakich powstawała bio-

grafia i ograniczenia, z jakimi musiał się borykać, osiągnął nadzwyczaj wiele. Na poziomie sekwencji wydarzeń, deklaracji, zatrzymań, spotkań, procesów, internowań, wyborów i splendorów zyskaliśmy wyliczenie dość szczegółowe. Klucz doboru (nieuchronny przy biografii tak bogatej) nie jest jednak do końca przejrzysty. Nie wszystkie epizody mają jednakową wagę, niektóre wydają się po prostu „dniami z życia Adama Michnika”, inne wybrane zostały ze względu na malowniczość sceny czy cytatu. Jest tych kilkuset wydarzeń o wiele za mało na kalendarium i trochę za dużo jak na portret syntetyczny – i pierwsze zastrzeżenie, jakie mógłbym mieć do tej książki, brzmi następująco: zza drzew nie widać lasu.

**Trzeba czytać „Demiurga”
z ołówkiem w ręku, by
odnotować fakt, niebanalny
nawet (zwłaszcza) dla
bohatera licznych
romansów, że Adam
Michnik się ożenił**

Zdaję sobie sprawę, jak subiektywna to uwaga, jak wydaje się niespójna z zastrzeżeniami, które zgłoszę za chwilę. A jednak formułuję ją będąc przekonany, że wysiłek biografisty – wysiłek ogromny, lekceważony nieraz przez czytelników – nie polega tylko na przeprowadzeniu szczegółowych kwerend, dotarciu do niechętnych świadków i spisaniu ich relacji. Wiąże się również z wielką odpowiedzialnością a stworzenie całościowego wizerunku swojego bohatera. Naturalnie, zmie-

niającego się w latach, nie idzie o jednozdaniową formułę laudacyjno-nagrobną! – przecież zawsze wizerunku jakiegoś, z dominującym rysem na etapie studiów, więzienia, wodzostwa, starości. Od Plutarcha po Martina Gilberta, z uwzględnieniem pisarzy bawiących się literacko samą formułą biografii (jak choćby, przykład pierwszy z brzegu, Robert Nye w znakomitym „Falstaffie”) z miazgi faktów i przypisów powinna się wyłonić osobowość.

Postać niepełna

W „Demiurgu” brak mi tego trochę, mimo celnego i zapadającego w pamięć tytułu, mimo odważnych ocen, mimo podsumowania, które jest dla Graczyka wyjątkowo niełatwe, ponieważ przedmiotu badań nie dzieli od badacza stu- czy dziesięciolecia. Podsumowując książkę trzystronicowym szkicem „Mój kłopot z Michnikiem”, a i w innych miejscach książki, autor zdaje sprawę z epizodów swojej z redaktorem znajomości, zależności zawodowej, podziwu. Więc nie o brak samoświadomości autorskiej idzie, w żadnym razie. Znając wcześniejsze książki biograficzne Graczyka, jestem przekonany, że kłopot z zaproponowaniem „formuły Michnika” nie wynika z braku dyscypliny czy odwagi autora, lecz z niezwyklej niejednoznaczności jego bohatera.

A przecież Graczyk usiłował rozsądnie ograniczyć pole badania, co – bezlitośnie – poczytuję mu za kolejne uchybienie, chociaż wydaje mi się, że rozumiem, jakie były przesłanki jego decyzji. Nie da się jednak ukryć, że podtytuł książki jest niepełny: brzmieć powinien nie „biografia Adama Michnika”, lecz „biografia polityczno-intelektualna Adama Michnika”. Ta biografia złożona jest w przeważającej mierze z papieru, z tekstów Michnika,

z zapisów jego wypowiedzi, z jego publicystyki i listów; i nawet dla hejterów, którzy rzucą się na „Demiurga” z całym żarem nienawiści wobec jego bohatera, ten graczykowy Michnik będzie niczym *piñata*: wielka kula z masy papierowej, powieszona u powały lub na gałęzi i przeznaczona do okładania kijami, aż posypią się z niej łakocie; dawniej rozrywka latinoamerykańskiego ludu, dziś przebój co drugiego urodzinowego kinderbalu.

Masy papierowej jest mnóstwo, łakoci też niemało, kto jednak ze słodczy najbardziej lubi boczek, odejdzie zawiedziony. I pisząc to, nie myślę przecież – mam nadzieję, że żadnemu z Czytelników tej recenzji nie powstała taka myśl w głowie – o tłustych plotkach ani pikantnych kompromatach, o wyliczaniu romansów Adama Michnika ani sytuacjach, gdy wzniósł o jeden kielich za dużo. Nie, całkiem na serio, nie.

(Choć nie sposób zarazem nie zauważyć nienaturalnej, wspomnianej już przeze mnie powyżej sprzeczności między „nie-wiedzą” a „wiedzą powszechną” również jeśli chodzi o tę płaszczyznę biografii. Związki, konkiety i ekscentryzmy Adama Michnika są, a przynajmniej bywały przed dekadą lub dwoma, przedmiotem zgorzonych lub zachwyconych plotek znanych *toute Varsovie*. Ten słyszał o F., tamten o K., osobniki całkiem nieobyte towarzysko a mściwe po raz tysięczny wrzucały na Facebooka zdjęcie z sylwestrowego (?) party, na którym widnieją Aleksander Kwaśniewski, Leszek Miller i Adam Michnik oraz małżonki dwóch pierwszych, wszyscy rozanieleni, rozkrochmaleni i upozowani do zdjęcia ze świadomością, że jest ono pastiszem setek podobnych fot – a zarazem nigdy nie stało się to przedmiotem wiedzy twardej. Były to i są opalizujące elementy legendy herosa, który

każdego wytargał za wąsy, z każdym się napił i całował się z papieżem. Korowód możliwych? prawdopodobnych? fascynacji, kochanek i kumpli Adama Michnika sięga niedostępnych śmiertelnikom wysokości, niczym zorza polarna, elektryzujący i nieuchwytny, mówi się, że... – na poziomie zaś konkretów, bodaj i publikowanych w michnikożerczych prawicowych tabloidach, zostaje nam konkret suchy niczym przesmażony kotlet schabowy: widziano go na obiedzie z Urbanem, raz na Foksal (Miroslaw Chojecki, str. 394) i ze dwa razy na Senatorskiej).

**Zostaje nam konkret suchy
niczym przesmażony kotlet
schabowy: widziano go na
obiedzie z Urbanem, raz na
Foksal i ze dwa razy na
Senatorskiej**

Nie, powtórzmy: nie o legendy łoża i stołu idzie, lecz o elementarne osadzenia bohatera biografii w czasie, w miejscu, w ciele, w rodzinie, w materii. O rodzicach Adama Michnika i jego przyrodnych braciach owszem, w pierwszych rozdziałach można trochę przeczytać – ale też wiadomo, że i Ozjasz Szechter, i Helena Michnik (by nie wspominać o Stefanie) są elementem Michnikowej legendy, żyją już nie własnym życiem, lecz jako stosunkowo lekkie pociski w toczonej od lat batalii. Można jednak przyznać, że „korzenie” i sytuacja materialno-społeczna bohatera biografii w dzieciństwie i wczesnej młodości są opisane nie mniej rzetelnie niż w większości prac tego typu. Dość jednak

pierwszej zbiórki walterowców, by szkoła, dom, ciało nastolatka zostały bez reszty przysypane zszywkami gazet i zawartością ubeckich teczek. Liceum? Tyle go, co w kanonicznej anegdocie, opowiedanej dziesiątki razy – w książce Graczyk zdecydował się na relację śp. Jana Lityńskiego: „Jacek spotkał Adama na ulicy i mówi «Adasiu, o tobie mówił Pierwszy». Na to Adam: «Daj mi spokój z głupstwami, ja mam poprawkę z fizyki»”.

Oczywiście, ta dezynwoltura 17-latka wobec Pierwszego Sekretarza totalitarnej partii, wobec Gomułki, wygrażającego Michnikowi na XIII Plenum w lipcu 1963 jest wspaniała, do dziś rozpromieniam się, czytając powyższe zdanie. Czytałem je już jednak przedtem tyle razy, u Friszkego i u Krasteva, u Szczęsnej i u Dudka, że chciałbym, dla odmiany, raz dowiedzieć się, z czego ta poprawka była? Z optyki czy z mechaniki? Zdał?

Czytając Michnika

Mniejsza o poprawkę. Trzeba czytać „Demiuurga” z ołówkiem w ręku, by odnotować fakt, niebanalny nawet (zwłaszcza) dla bohatera licznych romansów, że Adam Michnik się ożenił. Że małżeństwo to nie przetrwało, jak to się elegancko mówi, próby czasu. Że ma dorosłego syna, któremu poświęcony został jeden akapit na jednej z ostatnich stron. Ale już na przykład historia o próbach przejścia po śmierci rodziców mieszkania kwaterunkowego, legendarnego mieszkania przy Alei Przyjaciół zrelacjonowana została przez Graczyka wyłącznie jako ilustracja (kapitałnie zresztą dobrana!) zmieniającej się postawy władz wobec czołowego dysydenta (i, pars pro toto, opozycji) w latach 80.: w połowie dekady siedzący w więzieniu Michnik odpowiada z Wydziałem Kwaterunkowym

Dzielnicy Warszawa Śródmieście, przy czym widoki na ocalenie mieszkania są niewielkie; u schyłku dekady (ale jeszcze przed Okrągłym Stołem) otrzymuje przydział gładko niczym Stanisław Ochódzki paszport w „Misiu”. Pyszna historia, oczywiście – ale czy naprawdę była to jedyna okazja, by dowiedzieć się o odejściu rodziców (jak wyglądały jego relacje z nimi?) czy bodaj, bagatela, o sytuacji materialnej bohatera (i znów poczynię zbyteczne może zastrzeżenie – nie idzie mi o sekrety, pomówienia i legendy, lecz o *bare reality*: jak wyglądało życie człowieka skazanego przez PRL na permanentny *Berufsverbot*?). Jak bohater biografii żył, co czytał, na co chorował, co jadł (lub może – kto go karmił) i kogo kochał – nie są to pytania godne jedynie „Pudelka”, chyba że do grona jego autorów doliczymy Swetoniusza.

Ten deficyt tłumaczyć trzeba (co nie znaczy, by się z nim godzić) zamysłem tej biografii, która za ambicję miała opisanie trzech innych płaszczyzn życia Adama Michnika: jego praktyki i taktyki politycznej, jego politycznej refleksji (i wynikającej z niej strategii), wreszcie jego przemyśleń na temat spraw rudymenarnych: Polski, Polaków, historii, Kościoła (te przemyślenia też zresztą, jak wyraźnie widać w książce, zmieniały kształt; nie sposób jednak powiedzieć, czy to strategia warunkowała filozofię, czy odwrotnie).

To zadanie udało się nadspodziewanie dobrze: Roman Graczyk czyta korpus tekstów Adama Michnika hermeneutycznie, potrafi zeń wydobyć akapity mniej znane, pokazać, jak celna, jak odważna intelektualnie bywała to refleksja. Pozwala zresztą, co zawsze cenne u historyka, przemawiać bohaterowi własnym głosem: obszernie cytaty opatruje komentarzem, czasem prostuje nieścisłości, nigdy jednak

niemal nie streszcza. Jest to tym większym atutem, jeśli idzie o styl Michnika, też przecież zmieniający się, uwznioślający i degradujący: tu również Graczyk nie diagnozuje, pozwala nam czytać teksty z epoki Marca, „Cienie zapomnianych przodków” i wstępniaki z okazji kolejnych wyborów czy papieskich pielgrzymek. Jeśli coś utrudnia przyswojenie tej masy danych, to przeplatanie się tych trzech perspektyw: od tekstów stanowiących element doraźnej gry o „naszego premiera” czy postulowany kształt Unii Demokratycznej przechodzi do esejów w zamierzeniu autora „rymkiewiczowskich”. I to jednak nie jest koniecznym uchybieniem autora: przyszło mu karczować starodrzew, spisywać pierwsze ustalenia michnikologii, precyzować daty zatrzymania i lokalizację cytatów z Conrada czy Herberta. To jest praca na lata, praca, której nie wykonali ani krytycy Michnika, ani – co nieporównanie dziwniejsze – jego apologety.

Zmowa milczenia

Piszę to, przechodząc do najpoważniejszej w moim przekonaniu słabości „Demiurga” – i najmniej przez Romana Graczyka zawinionej. Do płycizn interpretacyjnych czy faktograficznych tej książki, które pojawiają się nie za sprawą nierzetelności czy lenistwa autora, lecz czegoś, co w romansach Courts-Mahlerowej lub Rodziewiczówny określane bywało mianem „zmowy milczenia”.

Termin pocieszny, zjawisko okropne i, na dobrą sprawę, niepojęte, jeśli naturalnie nie rozpatrywać go w kategoriach innych niż idolatria. Idzie o prawidłowość również znaną *toute Varsovie*: o fakt, że krąg ludzi najbliższych Adamowi Michnikowi, jego przyjaciół z różnych etapów

działalności, począwszy od heroicznej epoki „komandosów” – to krąg mimo żniwa chorób i śmierci nadal liczny, zasilany przez współpracowników z czasów niepodległej już Polski – od lat odmawia jakichkolwiek rozmów czy relacji na temat pierwszego wśród nich, Adama Michnika.

Niełatwo to pojąć. Oczywiście, zrozumiała może być lojalność, nakazująca milczeć o sytuacjach uważanych dziś za wstydlive (naturalnie, jeśli przyjąć, że miały one miejsce – i wiedząc, że z perspektywy kolejnego półwiecza wydadzą się one, jak wszystkie podobne sytuacje, błahe, jeśli nie rozczulające). Można pojąć niechęć do rozmowy z mediami i dziejopisami jawnie nieżyczliwymi – zwłaszcza w dzisiejszych czasach, kiedy na co dzień obserwujemy, jak wiele zdziałać może ktoś wycinający zdania z kontekstu i manipulujący cytatem. Mówimy jednak o czymś innym: o konsekwentnej rozmowie nawet z historykami, którzy udowodnili swoją bezstronność (jak Graczyk) pół tuzinem świetnych biografii, ba! – jak dziennikarze „Gazety”, jak wspomniany na wstępie Roman Kurkiewicz.

Ta odmowa świadectwa, odmowa przywołania błahych, wzniosłych i, po prostu, nieznanych, wydarzeń życia „komandosów” i kolejnych kręgów działania tego środowiska jest czymś sprzecznym z samą logiką działania podobnych układów ludzkich. Przy zachowaniu proporcji – lata, spędzone na wspólnym działaniu z Józefem Piłsudskim, czy to w PPS, czy w Legionach, wspominali zarówno jego wierni wyznawcy, jak ci, którzy się z nim poróżnili. Jedni i drudzy świadomi byli jego zasług *illo tempore*, jedni i drudzy grzali się trochę w jego ciepłe. Tę odmowę też trudno zrozumieć przy uwzględnieniu całej intensywności sporów politycznych III RP, w których „Gazeta” i Adam Michnik

osobiście byli stroną – i to nawet przy przyjęciu najbardziej cierpiętniczej wersji, w myśl której redaktor naczelny „Wyborczej” pomawiany jest i odsądzany od czci i wiary przez *ludzi małych, zawistnych... rycerzy ostatniej godziny. zoologicznych, skażonych nienawiścią antykomunistów... pyszałków, obsesyjnie przywiązanych do ciasnej wizji Polski narodowej* (wszystkie te sformułowania pochodzą naturalnie z publicystyki Adama Michnika). Dlaczego nie przeciwstawić tym plwocinom karłów reakcji wspomnień – gęstych, pokazujących „gwiazdny czas” Sewka, Jacka, Adama, a zarazem wychodzących poza ucukrowany kanon opowieści o tym, jak huknął Gomułka, co zrobił Adam w Otwocku i jak piękne listy doń pisał, adresując je na areszt śledczy przy Rakowieckiej, Herbert?

Jak bohater biografii żył, co czytał, na co chorował, co jadł (lub może – kto go karmił) i kogo kochał – nie są to pytania godne jedynie „Pudelka”, chyba że do grona jego autorów doliczymy Swetoniusza

Złośliwa odpowiedź byłaby łatwa. Nie udzielam jej, szczerze przekonany, że zbyt łatwa. Pozostaję z konstatacją, że biografia Graczyka, przy całej pracowitości autora, przy wykorzystaniu licznych źródeł z IPN, jest zbyt postna. Przywoływanych w przypisach relacji, jak na współczesnego nam bohatera jest zaskakująco mało, ten brak

uderza już po pierwszych 50 stronach, ale jego skala staje się jasna dopiero po lekturze wyliczenia na jednej z ostatnich stron książki: „Odmówili mi: Konrad Bieliński, Zbigniew Bujak, Michał Cichy, Jan Cywiński, Joanna Duda-Gwiazda, Jan Kofman, Antonina Krzysztoń, Ewa Kulik-Bielińska, Barbara Labuda, Helena Łuczywo, Antoni Michnik, Krzysztof Pomian, Eugeniusz Smolar, Barbara Szwedowska i Andrzej Titkow (...) Teresa Bogucka, ks. Adam Boniecki, o. Tomasz Dostatni OP, Piotr Naimski, Paweł Śpiewak, Joanna Szczepkowska”.

Hardy kokiet

Nie znaczy to, że świadectw w tej książce całkiem brak: kilka z nich, w tym zwłaszcza Antoniego Libery, każe żywić nadzieję, że Roman Graczyk zechce wydać, jako *byproduct* pracy nad tą biografią, co najmniej jeden wywiad-rzekę. Pozostaje jednak stwierdzić, że żadne ubeckie nasłuchy (tu kłania się zresztą wieloletnie doświadczenie Graczyka w krytycznej lekturze tego rodzaju źródeł) nie zastąpią ani relacji przyjaciół, rodziny, akolitów, podwładnych, ani korpusu tekstów szerszych niż artykuły gazetowe, bodaj listów.

Potrzeba wyczerpującej biografii Adama Michnika nie została więc tymczasem do końca zaspokojona – nie z winy autora.

Graczyk, stroniąc od taniego psychologizowania, zastanawia się jednak nieraz nad zasadniczymi rysami osobowości redaktora naczelnego „Gazety”, mającymi wytłumaczyć jego drogę życiową, sukcesy i fobie. Uderza zdolność Adama Michnika do pozyskiwania przyjaciół, wywoływania zachwyty, nieraz (choć nie tylko) poprzez odwołanie się do miłości własnej innych, obdarzanie ich podziwem. Równie charakterystyczne jest jego zdecydowanie, gotowość do wchodzenia w spór, bez względu na konsekwencje, czy będzie nim konflikt polityczny, czy zerwanie przyjaźni. Myślałem o tym przez chwilę, zastanawiając się, czy świetny tytuł „Demiurg” oddaje całą prawdę o najbardziej uderzającej cesze Michnika, czy nie podsumowuje przypadkiem tylko trumfów redaktora naczelnego z pierwszych lat III RP? Alternatywy, czy byłby to „Uwodziciel” czy „Fighter”, są jednak wyraźnie gorsze, zbitka w rodzaju „Hardy kokiet” nadawałaby się zaś na okładkę Harlequina, nie poważnej biografii. Tak naprawdę tytuł, który moim zdaniem najpełniej oddawałby zawartość tej książki – wiem, beznadziejny marketingowo – to „Prolegomena do biografii Adama Michnika”. To naprawdę i tak bardzo wiele.

Roman Graczyk, „Demiurg. Biografia Adama Michnika”, Zona Zero, 2021

Od małych do wielkich celów. Nowe zasady Jordana Petersona



JAREMA PIEKUTOWSKI

Członek zespołu, główny ekspert ds. społecznych

Czekając na nową książkę Jordana Petersona, zadawałem sobie przede wszystkim pytanie: czy życiowy kryzys zmienił coś w jego postrzeganiu świata? Zmiany zaszyły – wprawdzie niewielkie, ale istotne

Na liście bestsellerów Amazon.com, nowa książka Jordana Petersona, „Beyond Order. 12 More Rules for Life”, w siedem dni po premierze jest na dziewiątym miejscu. Nie jest to (jeszcze?) szczyt listy, ale to i tak nie lada wyczyn, bo na półkach Amazona znajdują się miliony tytułów. Na książkę Kanadyjczyka czekały także miliony – wielbicieli i wrogów na wszystkich kontynentach. Wydaje się nieprzypadkowe, że w pierwszej dziesiątce obok jego najnowszego dzieła znalazło się kilka książeczek dla dzieci autorstwa Dr. Seussa, wycofanych z druku za rzekome utrwalanie rasistowskich stereotypów. Także „Beyond Order” wzbudziło sensację, i to jeszcze przed wydaniem – grupa pracowników Penguin Random House oprotestowała publikację, określając Petersona mianem „ikony mowy nienawiści, transfobii i białej supremacji”. Szefostwo nie zdecydowało się jednak zarzącić kury znoszącej złote jajka. Od tygodnia możemy cieszyć się (lub martwić) nowym dziełem kontrowersyjnego, i chyba najbardziej popularnego na świecie psychologa.

Jego powrót stał zresztą pod znakiem zapytania – bowiem przez niemal półtora roku Peterson milczał, przygnieciony poważnym kryzysem rodzinnym i zdrowotnym. Od 2017 do połowy 2019 r. żył w szaleńczym, nieludzkim wręcz tempie, jeżdżąc od spotkania do spotkania, od debaty do debaty, nagrywając do tego regularnie kolejne podcasty i pisząc w mediach społecznościowych. Jednak w ostatnich nagrywanych na bieżąco podcastach w 2019 r. słychać już narastające osłabienie i napięcie. Najpierw ciężko zachorowała żona psychologa, a potem posypały się już kostki domina. Zdrowie Petersona załamało się całkowicie pod wpływem nagłego odstawienia przyjmowanych przez wiele lat benzodiazepin – silnych, uzależniających leków przeciwlękowych. We wrześniu 2019 jego córka i współpracownica, Mikhaïla, poinformowała opinię publiczną, że ojciec jest na detoksie, a potem było już tylko gorzej: leczenie w Kanadzie, w Rosji, znów w USA, wreszcie w Serbii, i coraz gorsze wieści. Nie było pewne, czy Pe-

terson kiedykolwiek powróci do życia publicznego.

Powrót z chaosu

A jednak powrócił. Choć jeszcze nie doszedł do siebie w pełni. W pierwszym własnym podcaście po wyjściu z najgorszego kryzysu z wysiłkiem opowiada o ostatnich kilkunastu miesiącach. „Nauczyłem się czegoś w tym czasie próby” – mówi. Czekając na nową książkę Jordana Petersona, zadawałem sobie przede wszystkim właśnie to pytanie: czego nauczył go kryzys? Czy zmienił coś w jego postrzeganiu świata? Peterson zyskał sławę jako twórca konserwatywny (choć sam nazywa się klasycznym liberałem). Jego popularność zaczęła się od zmagań z nowymi zapisami kanadyjskiego prawa, mającymi na celu zwalczanie dyskryminacji ze względu na tożsamość płciową i ekspresję płci, a w poprzedniej książce – bestsellerze „12 życiowych zasad. Antidotum na chaos” opowiada między innymi o biologicznych podstawach tradycyjnych hierarchii społecznych, kwestionowanych przez liberalno-lewicowe środowiska. Był więc masowo odbierany jako obrońca „starego porządku”.

Symbolem jego narracji stał się homar – skorupiak żyjący w hierarchiach, w których najsilniejsi i najwyżej postawieni osobnicy zgarniają najwięcej, a słabsi tracą chęć do życia. Peterson zachęca czytelników do szukania inspiracji w „zwyczajnym homarze”, i do zaprowadzania porządku w chaotycznej rzeczywistości – przede wszystkim poprzez (dosłowne i metaforyczne) „wyprostowanie się”, branie odpowiedzialności, kształtowanie charakteru, ambicję, samodyscyplinę i trzymanie się prawdy. Z takim przesłaniem Peterson zdobył popularność przede wszystkim

wśród młodych mężczyzn o konserwatywnych poglądach, szukających porządku i stabilnego punktu oparcia we współczesnej rzeczywistości, określanej po Baumanowsku jako „płynna”. Nowa książka (polskie tłumaczenie tytułu: „Poza porządkiem” lub „Nie tylko porządek”) miała jednak równoważyć przesłanie pierwszej.

Symbolem jego narracji stał się homar – skorupiak żyjący w hierarchiach, w których najsilniejsi i najwyżej postawieni osobnicy zgarniają najwięcej, a słabsi tracą chęć do życia

Peterson od dawna – trzeba mu to przyznać – wskazywał nie tylko na problemy, jakie przynosi chaos, i na korzyści płynące z porządku, ale i na to, że nadmiar porządku przeistacza się w tyranie i opresję. Czy faktycznie psycholog zwątpił w „stary porządek”? Co zmieniła ekspozycja na chaos, który tak gwałtownie – i na tak długo – wdarł się w jego życie?

Twórcze rozwinięcie

Krótką odpowiedź mogłaby brzmieć, że zmieniła mniej niż można było się spodziewać. „Beyond Order” to w istocie sequel „12 życiowych zasad”. Dwanaście kolejnych zasad, przedstawionych w nowym dziele psychologa, powstało już dawno, jako część dłuższej listy 42 reguł, która powstała w dialogu z użytkownikami

portalu Quora. Choć większość „Beyond Order” powstała w szpitalach, to rdzeń książki powstał długo przed kryzysem, jaki przeszedł jej autor. Píše on zresztą we wstępie: „mam nadzieję, że udało mi się rozjaśnić niektóre kwestie, które być może w poprzedniej mojej pracy były niewystarczająco rozwinięte”. W tym kluczu można przede wszystkim odczytywać „Beyond Order”. Ale tak naprawdę obie książki Petersona są rozwinięciem podstawowych tez, zawartych w książce, którą można bodaj nazwać jego faktycznym opus magnum. Chodzi o sążnistą pracę „Maps of Meaning” („Mapy sensu”), wydaną w 1999 r., na długo, zanim psycholog zyskał światową popularność.

Peterson zawarł tam swoją kompleksową wizję człowieka i świata, w którym tenże działa. Trudno streścić książkę, która ma 544 strony, spróbuję jednak opisać tę wizję w największym uproszczeniu. Człowiek w sposób twórczy eksploruje świat, pragnąc skonfrontować się z nieznanym, które budzi strach, i przekształcić je w znane, oswojone, bezpieczne. Na tej drodze odkrywa sens w przedmiotach, ludziach i zdarzeniach. W tej eksploracji pomagają opowieści i mity, które mają podobną strukturę i treść w różnych kulturach – przedstawiają człowieka jako bohatera w podróży, zawieszzonego między siłami chaosu i porządku. Chaos jest tym – tłumaczy Peterson już w „Beyond Order” – co zaskakuje nas, a czego się nie spodziewamy, jest „anomalią, nowością, nieprzewidywalnością, transformacją, wstrząsem”. Podróż bohatera rozpoczyna się od załamania istniejącego porządku przez nagłe pojawienie się anomalii. Bohater mierzy się z chaosem, i w konsekwencji tych zmagania tworzy się nowy porządek – już nieco inny niż ten uprzedni. Obrazy tej podstawowej mapy świata Peterson znaj-

duje zarówno w dziełach swoich mistrzów takich jak Mircea Eliade, Carl Gustav Jung, jak i w Biblii czy w „Enuma elisz”.

„Maps of Meaning” jest pracą trudną i obszerną. Peterson, świadom tego, w kolejnych książkach wyklada swoje podstawowe idee w sposób prostszy. „Beyond Order” jest właśnie takim wykładem, gdyż praktycznie każdy rozdział, każda reguła odwołuje się do zarysowanej wcześniej mapy rzeczywistości i opowiada o różnych aspektach podróży bohatera. Przede wszystkim – o warunkach udanej podróży, a więc także dobrego i owocnego życia. Są to w zasadzie te same warunki, o których mówiłem wcześniej, a o których Peterson pisze od czasów „Maps of Meaning”.

Jak dobrze przebyć podróż

Pierwszy z nich to trzymanie się prawdy. Już w „12 życiowych zasadach” Peterson zawarł między innymi regułę „Mów prawdę, a przynajmniej nie kłam”. Opowiada tam o niszczącym wpływie kłamstwa i wszelkich odstępstw od rzeczywistości na świat i samego kłamcę. Mniej więcej o tym samym, innymi słowami, mówi w kilku rozdziałach nowej książki. Reguła nr 3 („Nie chowaj niechcianych spraw we mgle” (tłumaczenie na podstawie profilu Jordan Peterson – Polska) opowiada o tym z punktu widzenia małżeństwa i bliskich związków, które rozpadają się pod wpływem lawiny kolejnych kłamstw. Świat składa się z drobnych rzeczy i nagromadzenie małych, ukrywanych irytacji kiedyś wybuchnie – mówi Peterson – dlatego mimo lęku należy konfrontować się i rozmawiać z bliskimi, przyznawać się do swoich uczuć, jak trudne by nie były. W regule nr 5 („Nie rób tego, czego nie nawidzisz”) zasadę trzymania się prawdy

ilustruje przykładami z miejsca pracy, mówiąc swoim czytelnikom, że jeżeli przełożeni każą im robić rzeczy niemoralne, oparte na kłamstwie lub bezsensowne – to powinni sprzeciwić się i, jeśli trzeba, odejść. Cały mechanizm utrzymywania się fałszu i oszustw opisuje Peterson w rozdziale 9 („Nie daj się owładnąć zawiści, zakłamaniu i arogancji”), a powstawanie powszechnie przyjmowanych kłamstw na dużo wyższym poziomie ogólności – w rozdziale na temat reguły nr 6 („Porzuć ideologię”).

**Nowa książka nieco więcej
miejsca poświęca
„kreatywnej eksploracji”,
która przemienia istniejący
porządek społeczny**

Inne warunki dobrze przebytej podróży bohatera to wytyczanie ambitnych celów, ciężka praca, samodyscyplina i branie odpowiedzialności – o czym w „Beyond Order” jest bardzo dużo, być może jeszcze więcej niż w „12 zasadach”. „Wyobraź sobie, kim mógłbyś być, a następnie wytrwale o to zabiegaj” (rozdział 2), „Pracuj tak ciężko, jak to tylko możliwe nad przynajmniej jedną rzeczą i sprawdź, co się stanie” (rozdział 7), „Zauważ, że szanse czyhają tam, gdzie zaniechano odpowiedzialności” (rozdział 4) – w tych wszystkich rozdziałach Peterson mówi o konieczności wybrania jednego jasnego celu (niedojrzałość polega bowiem, jego zdaniem, na utrzymywaniu dużej liczby otwartych życiowych opcji w nieskończoność, jak chciał zrobić Piotruś Pan) i ciężkiej, odpowiedzialnej

pracy nad dążeniem do jego osiągnięcia. To ma doprowadzić nas zarówno do integracji wewnętrznej, jak i do tego, że nasza praca będzie zmieniać na lepsze nasze najbliższe otoczenie – rodzinę, lokalną społeczność, a może i większe zbiorowości. Peterson już w „12 życiowych zasadach” zasłynął (pozytywnie lub negatywnie, zależnie od poglądów odbiorców) stwierdzeniem, że należy zacząć od siebie, od „sprzątnięcia własnego pokoju”, a dopiero potem ewentualnie zająć się reformami społecznymi – i tę tezę potwierdza także „Beyond Order”. Bohater konfrontujący się z chaosem musi wreszcie trzymać się pozytywnych wartości – piękna i dobra, które ostatecznie mają generować optymizm, mimo że życie jest cierpieniem i trudem.

Peterson odmieniony?

Powyższe omówienie każe ponowić zadane już wcześniej pytanie – czym właściwie różni się Jordan Peterson z „12 życiowych zasad” od Petersona z „Beyond Order”, skoro można odnieść wrażenie, że pisze o tym samym? Nowa książka nieco więcej miejsca poświęca „kreatywnej eksploracji”, która przemienia istniejący porządek społeczny. Krytycy zarzucali Petersonowi przede wszystkim, że popełnia błąd naturalistyczny (uznając, że skoro coś jest naturalne, zakorzenione w biologii, to jest dobre i powinniśmy to akceptować). Wskazywali, że za mało kwestionuje niesprawiedliwy porządek świata (hierarchię à la homary, czy zasadę „the winner takes it all”) i, co więcej, zaleca czytelnikowi dostosowanie się do tego porządku.

W „Beyond Order” faktycznie kładzie on nieco większy nacisk na postawę kwestionującą zły porządek czy przemieniającą go, i na opisanie, jak zbyt dużo porządku

może przekształcić się w tyranie. Hierarchie muszą być z tego powodu poddawane kreatywnej transformacji. Peterson opisuje szczegółowo, jakie pułapki czekają na konserwatystę, który dojdzie do władzy, i opis ten zacytuje w dużej części, gdyż jest uderzającym ostrzeżeniem dla koryfeusza „rewolucji konserwatywnej” (określenie Chantal Delsol), którą widzimy w Polsce czy na Węgrzech: *„Ci, którzy skłaniają się ku prawicy, są zagorzałymi obrońcami wszystkiego, co sprawdzało się w przeszłości. Najczęściej mają rację, ponieważ istnieje ograniczona liczba ścieżek, które prowadzą do sukcesu, społecznej harmonii i długoterminowej stabilności. Ale czasami się mylą: po pierwsze dlatego, że teraźniejszość i przyszłość różnią się od przeszłości; po drugie – dlatego, że hierarchie, które niegdyś dobrze działały, zazwyczaj (nieuchronnie?) padają ofiarą wewnętrznych machinacji, co prowadzi do ich upadku. Ci, którzy wznoszą się na szczyty, mogą to robić poprzez manipulację i sprawowanie niesprawiedliwej władzy, działając w sposób, który jest korzystny tylko dla nich, przynajmniej na krótką metę; ale ten rodzaj awansu podważa właściwą funkcję hierarchii, której częścią – nominalnie – są oni sami. Tacy ludzie zazwyczaj nie rozumieją, jakie funkcję miała spełniać organizacja, którą uczynili swoim żywicielem – albo ich to nie obchodzi. Wyścigają, co się da, z bogactw leżących przed nimi, i pozostawiają po sobie ruiny”* (tłum. JP).

Mówiąc o konieczności przeciwstawienia się zepsutemu porządkowi, Peterson jednak zastrzega, że aby się buntować, należy najpierw stać się mistrzem reguł i dogmatów, nauczyć się, drogą samoograniczenia i samodyscypliny, posłuszeństwa wobec nich – i dopiero wtedy

można pozwolić sobie na transgresje. Reguły te bowiem powstawały w długim procesie negocjacji jednych grup z drugimi, i tak naprawdę one utrzymują społeczeństwo w jako takim porządku. Dlatego, twierdzi Peterson, nie należy śpieszyć się z ich kwestionowaniem. Każdy bowiem chciałby krzyknąć „Precz z regułami”, ale hasło „Precz z odpowiedzialnością” jakoś nie pojawia się na sztandarach.

Jest jeszcze kilka różnic między Petersonem z „12 zasad” a tym z „Poza porządkiem”. Z pewnością większą wagę Kanadyjczyk przywiązuje dziś do relacji międzyludzkich, zwłaszcza w rodzinie, do społecznego konstruowania rzeczywistości, do konieczności uwzględnienia innych osób i ich wkładu w „podróż bohatera”. Jest więc odrobinę mniej indywidualistyczny. Docenia też moc sztuki, także tej transgresyjnej, niewygodnej dla konserwatystów przywiązanych bardzo do klasycznego kanonu „ładności”. Rozumie wprawdzie tych, w których sztuka abstrakcyjna lub szokująca wywołuje irytację, jednak, jak twierdzi, *„łatwo też popełnić odwrotny błąd, twierdząc, że sztuka powinna być ładna i budzić prosty zachwyt nie rzucając wyzwania i nie stawiając wymagań wobec odbiorcy; że powinna mieć charakter dekoracyjny i pasować do mebli w salonie. Ale sztuka nie jest dekoracją. Takie podejście charakteryzuje naiwnego żółtodzioba, lub kogoś, komu własny lęk przed sztuką uniemożliwia postęp i naukę”*. Chwali też surrealistów czy Williama Blake’a – co prawda w porównaniu z dzisiejszymi twórcami sztuki krytycznej czy nawet z Piero Manzoniem ci artyści wydają się aż nadto klasyczni, jednak dla wielu tradycjonalistów są solą w oku i stanowią niepokojący przykład zerwania z kanonami.

Manifest naciskania i walki

Jest w „Beyond Order” kilka fragmentów znakomitych i nowatorskich. Bardzo wartościowy jest opis mechanizmu powstawania niebezpiecznych ideologii (reguła 6). Zaczyna się od redukcjonizmu i wyboru kilku uogólnionych zjawisk takich jak „gospodarka”, „naród” czy „patriarchat”. Następnie ideolog tworzy teorię, w której za pomocą tych abstrakcji, nie zadając sobie trudu dokładnego zbadania wszystkich możliwych czynników, wyjaśnia bardzo złożone zjawiska. Budzi to zainteresowanie – w pewnym sensie zrozumiałe, bo któż nie ceni prostych wyjaśnień? Popularność teorii przynosi ideologowi tłumy zwolenników i słabszych intelektualnie następców, chcących ogrzać się w ciepłe „mistrza” – a następnie dochodzi do sytuacji, w których przeciwnicy ideologii są wyrzucani poza margines „dobrych towarzystw”. Tak powstaje cancel culture, zarówno w wersji lewicowej, jak i prawicowej.

Niezwykle cenne w dobie rosnącej polaryzacji są też znajdujące się w różnych rozdziałach rozważania na temat wzajemnego uzupełniania się konserwatystów i liberałów. W czasach postpolityki przeciwnicy mają ochotę wyeliminować się nawzajem – słuchając dytyrambów polityków i ich gorliwych wyznawców można odnieść wrażenie, że wróg („lewak”, „libek” czy „prawak”) powinien zniknąć z powierzchni ziemi, i wtedy zapanuje wieczne szczęście. To jednak błędne myślenie: *„Konserwatyści są niezbędni, by utrzymać status quo w sytuacji, w której wszystko działa, a zmiana może być niebezpieczna. Liberałowie natomiast są potrzebni, by zmieniać stan rzeczy, gdy dotychczasowe rozwiązania już nie działają. Niełatwo jednak określić, kiedy należy zachowy-*

wać, a kiedy przekształcać. Od tego właśnie jest polityka i towarzyszący jej dialog, który – jeśli mamy akurat to szczęście – zastępuje wojnę, tyranię czy poddaństwo”. Potrzebna jest zarówno lewica, jak i prawica, bo każde z tych ugrupowań widzi jedną połowę rzeczywistości, a na drugą połowę jest ślepa. Peterson twierdzi zgoła, że być może dobrze, jeśli w kolejnych kadencjach rządzą raz jedni, raz drudzy, bo w ten sposób obie połowy rzeczywistości mogą zostać uwzględnione (niestety patrząc na to, jak – choćby w polskiej praktyce – kolejne ekipy rujnują dokonania poprzedników, można uznać, że jest zbytnim optymistą).

Niezwykle cenne w dobie rosnącej polaryzacji są też znajdujące się w różnych rozdziałach rozważania na temat wzajemnego uzupełniania się konserwatystów i liberałów

Wątpliwości budzi natomiast ciągły i niezmienny od czasów „przedkryzysowych” nacisk Petersona na osobistą odpowiedzialność jednostki i jej ambicję. Autor powtarza zachęty do stawiania sobie trudnych wyzwań i celów, zachęca czytelników do przychodzenia do pracy wcześniej i wychodzenia później (trzeba przyznać, że dodaje: „nie za cenę życia”), do morderczej pracy i dyscypliny. Samo w sobie jest to cenne, ale w nadmiarze może także być niebezpieczne – na co może wskazywać sam los Petersona w ostatnich

latach, kiedy to ogromne cele (także pod wpływem splotu dramatycznych wydarzeń) okazały się nie do osiągnięcia w takiej formie i w takim terminie, jaki sobie zamarzył. Owszem, należy brać na barki odpowiedzialność, ale pamiętając o tym, że w pogoni za ambicjami i za światłą wizją bohaterskiego życia można wziąć na siebie także za dużo i załamać się pod tym ciężarem. Tym bardziej, że podobnymi (choć oczywiście nie takimi samymi) argumentami posługują się szefowie wielkich firm, wyciskający swoich pracowników jak cytrynę w imię większych wyników i wydajności. Oczywiście Peterson mówi o pogoni za tym, co sensowne, a nie tym, co opłacalne, ale o pomyłkę nietrudno. Trzeba wiedzieć, kiedy naciskać i walczyć, a kiedy dla zdrowia własnego i innych odpuścić – a „Beyond Order” jest jednak przede wszystkim jednym wielkim manifestem naciskania (głównie na siebie) i walki.

Mądrości czy banały?

Peterson także sugeruje czytelnikowi (w rozdziale 6), że najlepiej, by zakładał, że problem tkwi w nim samym, a nie w systemie lub w świecie zewnętrznym – co z jednej strony może być jakąś drogą do uniknięcia resentymentu i postawy ofiary, ale z drugiej strony wymaga zawieszenia innej reguły Kanadyjczyka – mianowicie uczciwości wobec faktów. Czasami faktycznie problem jest w świecie i w systemie, a nie we mnie. Czasami faktycznie odpowiedzialność i zadania, które chcę przyjąć, są zbyt duże. Nie pamiętając o tym, można stać się ofiarą wielkich, technokratycznych organizmów prywatnych i państwowych, chcących przerobić jednostkę na swoją modłę.

Peterson stawia też mocną tezę, że nie da się „zwalczyć patriarchy”, „zniwelować opresji”, „zredukować państwa” czy „uratować środowiska”, bo takie stwierdzenia są zbyt dużym uogólnieniem. Trzeba, jak twierdzi, dać sobie spokój z ideologią i zacząć od problemów mniejszych, ale bardziej precyzyjnie zdefiniowanych. Od tego interesującego stwierdzenia przechodzi jednak znów do powtórzenia reguły z poprzedniej książki: „Posprzątaj swój pokój” – a więc znów kręcimy się wokół zmian na poziomie osobistym. Nie wierzę, że we współczesnym świecie złożonych i utrwalonych mechanizmów systemowych można coś zmienić, nie mając w perspektywie także tych większych celów. I choć zgadzam się z Petersonem, że zaczynać należy od małych kroków, ale naprawdę nie należy spoczywać na laurach i ograniczyć się do sprzątanego pokoju. Przy całym szacunku do tej ostatniej czynności, zarówno w jej znaczeniu dosłownym, jak i metaforycznym.

Krytycy Petersona zarzucają mu często także głoszenie banałów rodem z podręczników do samorozwoju. Tu jednak zaoponuję – owszem, rady Kanadyjczyka nie są niczym nowym, ale też w dziedzinie mądrości życiowej trudno o radykalne innowacje. Z pewnością ich dobór odpowiedni jest do deficytów współczesnego świata – deficytu cnót, systematycznej pracy, rozumu, rzetelności wobec faktów.

„Beyond Order” to wywód uporządkowany, inkrustowany przykładami z własnej praktyki klinicznej Petersona i z literatury – od „Harry’ego Pottera” przez „Biesy” Dostojewskiego do Ewangelii. Chwilami jest bardzo dynamiczny, chwilami nuży i irytuje dłużyznami, powtórzeniami i stężeniem patosu (podobnie jak w przypadku „12 życiowych zasad”).

Z pewnością warto jednak zapoznać się z tym, co prezentuje Peterson po powrocie z otchłani – odrobinę zmieniony, odrobinę łagodniejszy, odrobinę szerzej spoglądający na rzeczywistość. Ale słowo „odrobinę”

jest tu na miejscu, bo to w gruncie rzeczy jednak ten sam Peterson, co wcześniej – co może być w oczach odbiory zarówno dużą zaletą, jak i dużą wadą „Beyond Order”.

Reklama

Pod uwagę działaczom religijnym, politycznym i społecznym:

Chrześcijańska myśl ekonomiczna

Chrześcijańska myśl ekonomiczna stanowi kierunek badania znaczenia Przykazań Dekalogu: „Nie kradnij!” i „Nie pożądaj własności bliźniego!” dla ekonomii i gospodarki, oraz na wyciąganiu wniosków z wyników tych badań w celu ich wykorzystania w nauce ekonomii i polityce gospodarczej. Inspiracją tej myśli jest stwierdzenie, że ponieważ aż dwa te Przykazania mają za cel ochronę własności człowieka, czyli ochronę własności prywatnej, to znaczy, że Stwórca nadał nienaruszalności instytucji własności prywatnej wysoką rangę. Stanowi ona dobro nierozzerwalne z człowieczeństwem. Pod pojęciem „własność prywatna” rozumie się, oczywiście, dobro uczciwie nabyte przez człowieka, a nie dobro przez niego posiadane, lecz nabyte drogą jakiegokolwiek rodzaju kradzieży.

Wyniki badań powyższego wpływu okazują się rewelacyjne. Okazuje się, że łamanie przez ludzi i ich rządy Przykazania „Nie kradnij!”, poprzedzane na ogół łamaniem Przykazania „Nie pożądaj własności bliźniego!”, czyli, inaczej mówiąc – kradzież jest główną przyczyną, lub samą istotą, prawie wszystkich poważnych krajowych i międzynarodowych problemów i kryzysów gospodarczych wiodących do biedy i różnych niepożądanych efektów społecznych. Im powszechniejsze zjawisko kradzieży we wszelkich jej formach, a szczególnie w formach grabieży zalegalizowanej przez państwo i popełnianej na różne sposoby, często „w majestacie prawa”, na obywatelach, tym poważniejsze hamowanie rozwoju gospodarczego i dobrobytu. Do tych sposobów zaliczyć należy, między innymi:

- 1) zaciąganie pożyczek państwowych bez wiedzy i zgody obywateli, którzy wraz ze swym potomstwem pożyczki te będą musieli spłacać;
- 2) drukowanie papierowych pieniędzy bez ich pokrycia w przyroście bogactwa narodowego, co powoduje inflację i obniżanie wartości pieniędzy już posiadanych przez obywateli;
- 3) przyznawanie przez władze różnych licencji, monopoli i innych przywilejów wybranym ludziom lub grupom ludzi, kosztem wszystkich pozostałych;
- 4) tworzenie w instytucjach państwowych tak zwanych stanowisk pracy, pracy bezproduktywnej i pasożytniczej, będącej przykrywką do dzielenia się pieniędzmi z kieszeni podatnika;
- 5) sprzecznie z zasadą równości wszystkich obywateli wobec prawa, zalecane przez Marksa opodatkowanie wybiórcze (progresywne) ludzi zamożniejszych, a tym samym karanie ich za to, że w gospodarce rynkowej stali się nimi dzięki swej pra-

Reklama

- cowitości, zaradności, uczciwości, wyrzeczeniom, oszczędzaniu i zaspokajaniu potrzeb innych ludzi owocami swej działalności;
- 6) opodatkowanie na cele nie służące dobru całego społeczeństwa, lecz tylko niektórych jego grup;
 - 7) łamanie prawa podaży i popytu, przez narzucanie cen minimalnych lub maksymalnych za jakieś dobra – a więc okradając właściciela danego dobra z prawa do swobodnego dysponowania swą własnością;
 - 8) szerzenie i praktykowanie korupcji poprzez tworzenie korupcjogennych urzędów dla „swych” ludzi i ochrona ich działań drogą kosztujących całe społeczeństwo;
 - 9) praktykowanie socjalizmu poprzez bezpośrednią konfiskatę własności prywatnej na rzecz państwa i jego różnych instytucji;
- itd., itd.

W świetle powyższego jasne jest, dlaczego państwa socjalistyczne i „opiekuńcze” oparte na „uszczuplaniu” i konfiskacie własności prywatnej prowadzą kraje do bankructwa, a rodziny i społeczeństwa do rozkładu.

Przyjęcie powyższego do wiadomości powinno być szczególnie łatwo akceptowane przez nas, chrześcijan, dla których Dekalog, będący zbiorem nakazów i zakazów pochodzących od Stwórcy, jest jednym z filarów wiary. Szczególnie czujni winniśmy być na znaczenie nieraz spotykanych haseł o potrzebie realizacji zasad sprawiedliwości społecznej (co, między innymi, jest wyrażone w Artykule 2 obecnie obowiązującej Konstytucji RP), bo często bywają one pośrednim wzywaniem do łamania Przykazania 10 („Nie pożądaj żadnej rzeczy należącej do bliźniego”) i do przymusowego wyrównywania międzyludzkich nierówności majątkowych i społecznych, drogą zalegalizowanej grabieży i kradzieży gwałcącej Przykazanie „Nie kradnij!” i chrześcijański nakaz miłości bliźniego, a są inspirowane przez różnych popleczników marksizmu, którego, jak wiadomo, jednym z podstawowych dogmatów jest konieczność likwidacji własności prywatnej. Nieopatrna akceptacja takich haseł przez katolików, mimo, że nigdzie w Piśmie Świętym nie ma potępienia, a nawet tylko dezaprobaty nierówności międzyludzkich, stanowi sukces infiltracji wrogiej chrześcijaństwu ideologii marksistowskiej do Kościoła. Chrześcijańska myśl ekonomiczna służyć może za narzędzie intelektualne w zwalczaniu tej infiltracji. Niezależnie od tego zachęca ona patriotów pragnących jak najlepiej dla swego kraju, aby nie pozwalali rządzącym na ustanawianie i egzekwowanie praw okradania obywateli przez państwo, a doprowadzali do likwidacji takich praw już istniejących.

JAN MICHAŁ MAŁEK
Założyciel Fundacji PAFERE

Misja

Świat intelektualny – od uniwersytetów po media – nie nadąża dziś za gwałtownymi przemianami rzeczywistości politycznej, gospodarczej i społecznej, opisując je za pomocą kategorii z poprzednich epok. To zasadniczo obniża jakość rządzenia, które wymaga rozstrzygnięcia dylematów przy użyciu wiedzy dostępnej w danej chwili. Deficyt tej ostatniej zwiększa ryzyko decyzji błędnych lub wręcz katastrofalnych, jak również – dominacji fałszywych ideologii. Polski dotyczy to w stopniu szczególnym, ze względu na trudne położenie geopolityczne i słabość intelektualną (uniwersytetów, mediów, think tanków).

„Nowa Konfederacja” stara się temu kryzysowi myśli przeciwdziałać na cztery zasadnicze sposoby:

- 1) Poprzez formułę thinkzine'u: pierwszego w Polsce i prawdopodobnie na świecie think tanku i magazynu publicystycznego w jednym, umożliwiającą lepszą komunikację i synergię między ekspertami z różnych dziedzin oraz między specjalistami a publicystami i intelektualistami; wszystko po to, aby po pierwsze zwiększać poziom wiedzy specjalistycznej, a po drugie (i ważniejsze) budować całościowy obraz rzeczywistości;
- 2) Poprzez kształtowanie opinii elit;
- 3) Poprzez oddziaływanie na główny nurt debaty za pomocą komentatorstwa politycznego;
- 4) Pełniąc rolę pośrednika między światem ekspercko-akademickim a medialnym.

Działamy w duchu polskiej tradycji republikańskiej, uważając ją z jednej strony za najbardziej chwalebny dorobek rodzimej polityki, z drugiej za inspirację do rozwiązywania współczesnych problemów, na czele z fałszywymi dylematami: państwo czy wolność, wolność czy wspólnota. Dziś potrzebujemy jednocześnie więcej państwa, więcej wolności i więcej wspólnoty. Wyzwania tak dla politycznej podmiotowości, jak i wolności są bowiem bezprecedensowe – taka musi też być odpowiedź.

Jesteśmy konfederacją – związkiem obywateli dążących razem do dobra wspólnego, w sytuacji, gdy inne instytucje zawodzą.

Jesteśmy niezależni tak od partii politycznych, jak i od rywalizacji na klikalność. Jest to możliwe przede wszystkim dzięki hojności naszych Darczyńców. Utrzymanie niezależności i poziomu merytorycznego oraz dalszy rozwój, przybliżający realizację powyższych celów, zależą od utrzymania i rozwoju finansowania poprzez bezwarunkowe darowizny na cele statutowe.

Jeśli cenisz „Nową Konfederację” – wesprzyj ją.

Działalność

Do listopada 2017 r. „Nowa Konfederacja” była pierwszym w Polsce internetowym miesięcznikiem idei (pierwszych 51 numerów ukazało się w formule e-tygodnika, między październikiem 2013 a wrześniem 2014). Dziś „Nowa Konfederacja” to prawdopodobnie pierwszy na świecie thinkzine. To nowa forma instytucji eksperckiej i publicystycznej jednocześnie. Umożliwia to z jednej strony lepsze niż dotąd gromadzenie i tworzenie wiedzy specjalistycznej, z drugiej: efektywniejszą pracę nad całościowym opisem rzeczywistości publicznej.

Do tej pory podstawowym sposobem prezentacji takich owoców była publicystyka, która cały czas odgrywa ważną rolę w naszej działalności. Obecnie każde kolejne wydanie e-miesięcznika zawiera 10 materiałów – artykułów analitycznych, esejów, wywiadów. Dwa razy w tygodniu publikujemy komentarze reagujące na bieżące wydarzenia. Swoje miejsce ma u nas także felieton – wymierający gatunek na pograniczu dziennikarstwa i literatury pięknej, ukazujący się co najmniej raz w miesiącu.

Od listopada 2017 roku stawiamy także na działalność ekspercką. Specjaliści od spraw ustrojowych, międzynarodowych, prawa, obronności, gospodarki, samorządu i nie tylko publikują w „Nowej Konfederacji” raporty, analizy, komentarze eksperckie.

Zarówno publicyści, jak i eksperci związani z „Nową Konfederacją” występują w mediach, zarówno pracując w różnych tytułach, jak i występując w nich gościnnie czy komentując dla nich bieżące wydarzenia. Jesteśmy obecni na łamach największych polskich dzienników i tygodników, w internecie, na falach stacji radiowych, regularnie występujemy także w programach telewizyjnych stacji publicznych i prywatnych.

Ważnym elementem naszej działalności są także otwarte debaty, które organizujemy co najmniej raz w miesiącu. Zaproszeni przez nas goście – naukowcy, politycy i dziennikarze – dyskutują wokół kolejnych naszych publikacji, a także na bieżące tematy społeczno-polityczne. Jesteśmy obecni także w mediach społecznościowych – na Facebooku, Twitterze czy YouTube.

„Nową Konfederację” tworzą

Stali Darczyńcy: Bartłomiej Kachniarz, Piotr Kubiak, Michał Macierzyński, Jerzy Martini, „mieszkaniec Bytomia”, Jakub Stychno, Marcin Sławeta, Michał Kocur, Remigiusz Iwuć, Piotr Ogiński, Damian Szczerbaty, Szymon Radziszewicz, Krzysztof Szatan oraz Anonimowi Darczyńcy

Pozostali Darczyńcy: Jacek Bartosiak, Piotr Remiszewski, Piotr Woźny, Andrzej Dobrowolski, Krzysztof Poradzisz, Marek Nowakowski, Karol Tataro oraz Anonimowi Darczyńcy (Lista Darczyńców jest uaktualniana na początku każdego miesiąca)

Zespół: Kołodyńska-Magdziarz (Sekretarz zespołu), Jarema Piekutowski, Bartłomiej Radziejewski (Dyrektor), Stefan Sękowski (Zastępca dyrektora, kierownik sekcji Publicystyki), Anna Szczerbata, Paulina Raczyńska, Marcin Chruściel

Stali współpracownicy: Paweł Behrendt, Łukasz Kobeszko, Michał Lubina, Stanisław Maksymowicz, Rafał Matyja, Anna Mieszczanek, Andrzej Mikosz, Adam Radzimski, Marek Wojnar, Karol Zdybel, Adam Michalak, Witold Sokała, Piotr Celiński, Patryk Gorgol, Krzysztof Sękowski

Współpracownicy: Michał Beim, Ludwik Dorn, Błażej Duber, Stanisław Gasik, Tomasz Geodecki, Tomasz Grzegorz Grosse, Elżbieta Hibner, Maria Libura, Damian Maziarz, Filip Memches, Tomasz Pichór, Radosław Piekarz, Tomasz Pućrół, Witold Repetowicz, Jan Rokita, Błażej Sajduk, Wojciech Stanisławski, Zbigniew Stawrowski, Barbara Szewczyk, Artur Wołek, Krzysztof Wołodźko, Roman Graczyk, Paweł Średziński, Andrzej Horubała

Grafika (okładki): Piotr Promiński

Korekta i redakcja stylistyczna: Jarema Piekutowski, Stefan Sękowski

Skład: Rafał Siwik

Wydawca: Fundacja Nowa Rzeczpospolita

Kontakt: redakcja@nowakonfederacja.pl